

ŁÓDZKI WIR

wywiady i Reportaże

Nr 1
25 lutego 2012
Egzemplarz bezpłatny

Gazeta studencka
Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi
Kierunek Dziennikarstwo



Na słuchawce

Temat numeru

3. Na słuchawce

Człowiek

10. Opowiem Ci o efekcie motyla

Podróż

6. Erasmus – czyli student za granicą

13. Z pamiętnika włóczykija

Miejsce

9. Ucieczka do „Spalonych Słońcem”

20. Oryginalna i niepowtarzalna Łódź

30. Moje życie w małym mieście

32. Dawny Zgierz w drewnie rzeźbiony

Muzyka

14. Black metal, czyli kobietom dziękujemy

26. Poppy, czyli 5 tez o polskiej muzyce

Sport

16. Łódzka miłość

30. Iskra z Bełchatowa

Wspomnienie

18. Wspomnienia z Łodzi

25. Profesor Zagadka

Wczoraj i dziś35. Wehikuł czasu, czyli jak
zmieniała się Łódź**Joanna Grabarczyk**

Aby życie miało smaczek... mamy nasz „wstępniaczkę”. Ba! Mamy całą gazetę! Tradycji tworzenia pierwszego własnego pisma w trakcie studiów stało się zadość. Zaszczyc zredagowania kolejnego numeru w roku akademickim 2011/2012 przypadł w udziale i nam, studentom zaocznym III roku Dziennikarstwa i komunikacji społecznej Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi.

Stworzenie pierwszej własnej gazety to już „nie w kij dmuchał”, jak głosi powszechnie używane powiedzonko. Natomiast stworzenie gazety dobrej, ambitnej, na poziomie, o której zasłużone miejsce na kioskowych półkach walczy sama jakość tekstów w niej opublikowanych – to dopiero wyzwanie! Jednak udało się. Dziś z dumą w imieniu całej Redakcji oddaję w Państwa ręce pierwszy – być może jedyny – numer „Łódzkiego WiR-u”.

Jak dziwnie toczy się życie... Łódź – trzecie co do wielkości miasto w Polsce, gdzie tworzy się oprogramowanie dla gigantycznych koncernów lotniczych; gdzie funkcjonują filie wielu znanych firm międzynarodowych i kilka uczelni wyższych, w tym słynna na cały świat „Filmówka”; gdzie na niespotykaną dotąd skalę udało się funkcjonalnie zrównoważyć przepaść między historią miasta a jej teraźniejszością; gdzie w błyskawicznym tempie rozwija się branża związana z projektowaniem mody; gdzie ukazują się kilka dzienników lokalnych – nie miała przez lata własnego tygodnika regionalnego! Łódź, przez Polaków kojarzona głównie z upadkiem przemysłu tekstylnego i z szarością ulic, Łódź zdominowana przez sąsiedztwo nieodległej stolicy wreszcie przemówiła własnym głosem. W dodatku donośnym! Cieszymy się, że to za sprawą naszej gazety.

Koncepcja stworzenia łódzkiego tygodnika regionalnego, w całości poświęconego dłuższym, ambitnym tekstom dziennikarskim, to swoiste zbliżenie na to miasto. Grzechem byłoby upierać się, że Łódź jest nijaka. Byłoby to równoznaczne ze stwierdzeniem, że nijacy są ludzie zamieszkujący to miasto i bez znaczenia jest to, co tutaj się dzieje. Tymczasem Łódź to w istocie wir. Wir, który niesie w sobie dwójakie znaczenie. Wir – w języku niemieckim jest to zaimek osobowy dla pierwszej osoby liczby mnogiej, co mówiąc prościej przekłada się na słowo „my”. Tak jest w istocie – Łódź to my, łodzianie! Po drugie, wir – czyli nieustanne zmiany, ruch, dynamika. Choć budzi niepokojące skojarzenia, dziś dla nas jest to mieszanina



kultur, czasów, doświadczeń i przeżyć ludzkich. To twór pozostający w ciągłym ruchu, który tętni życiem: słucha, oddycha, przeżywa, patrzy, mruga do nas – być może owym słynnym „okiem cyklonu”.

„Łódzki WiR”, czyli „Wywiady i Reportaże”. W tym numerze dzięki ostrym piórom dziennikarzy zasilających naszą redakcję, przeczytają Państwo o skomplikowanych perypetiach ofiar dopalaczy i o trudnym życiu pracowników call-centers. Nie zabraknie akcentów sportowych i historycznych, a nawet podróży. Jest tu też miejsce na wspomnienia. Kto uważał, że miasto prząsniaczek z centralnej Polski to kulturalny ugor, szybko zmieni zdanie za sprawą potężnej dawki tekstów przybliżających twórcze inicjatywy mieszkańców regionu.

Łódź ma swój „WiR” i... puszcza do Państwa oko. Można w nie spojrzeć bez obaw, chociaż może pochłoniąć. Zapraszam do czytania.

Redaktor Naczelna**Joanna Grabarczyk**

WYDAWCA: Zakład Dziennikarstwa Akademii Humanistyczno - Ekonomicznej w Łodzi. Pismo redagowane przez zaocznych studentów III roku Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej w Łodzi.

REDAKCJA: Łódź, ul. Rewolucji 1905r nr 64, 90-222 Łódź.

REDAKTOR NACZELNA:

Joanna Grabarczyk;

REDAKTOR WYDANIA:

Karolina Radwańska;

SEKRETARZ REDAKCJI: Rami Khalife;

KOREKTA: Karolina Radwańska;

GRAFIKA I FOTOEDYCJA:

Kamil Dębowski,

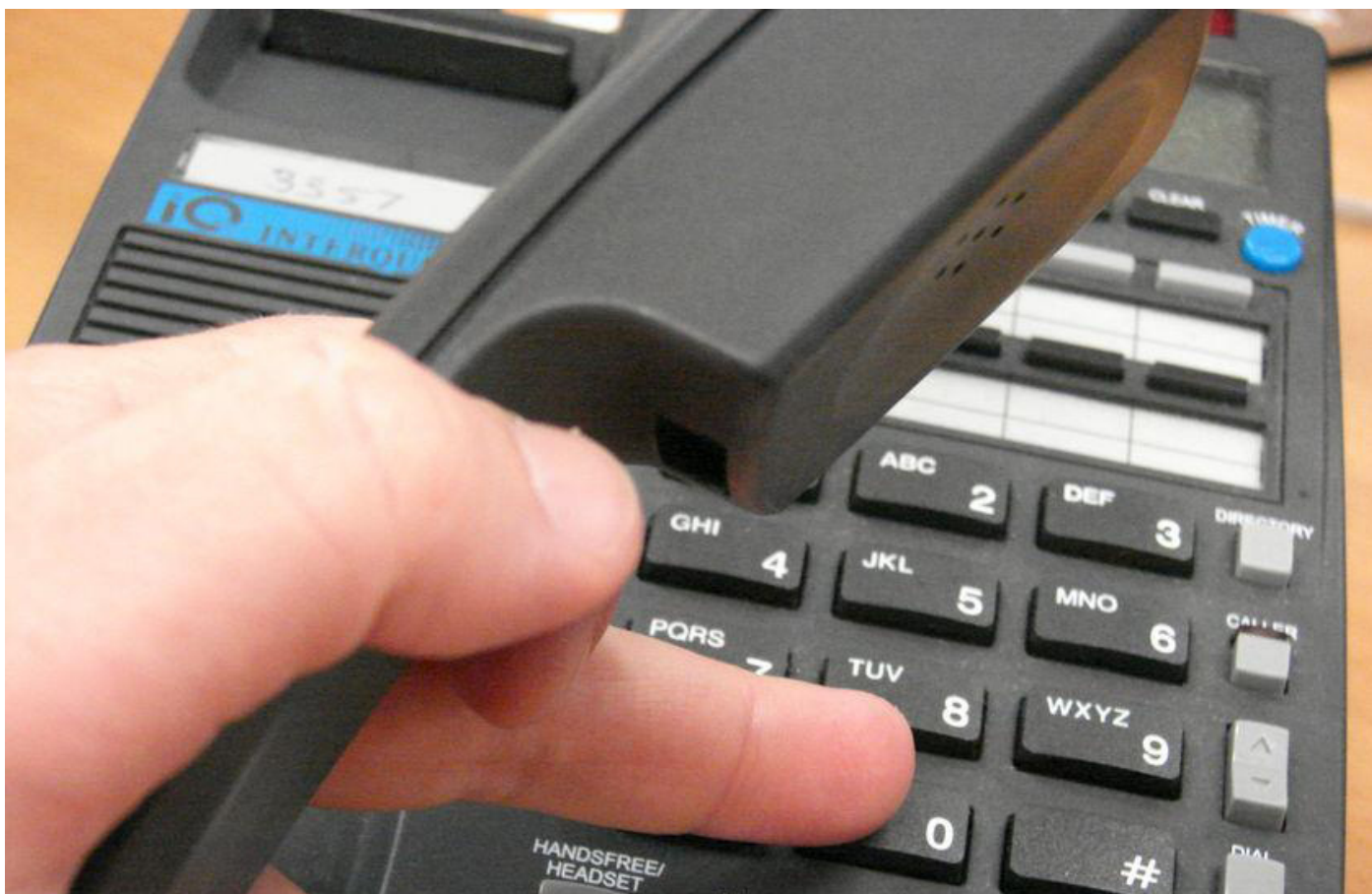
Agnieszka Wojciechowska;

WINIETA:

Kamil Dębowski;

ZESPÓŁ: Kamil Dębowski, Joanna Grabarczyk, Tomasz Jaśkiewicz, Rami Khalife, Joanna Kowalczyk, Beata Piechota, Karolina Radwańska, Patrycja Sędecka, Patrycja Suligowska, Agnieszka Wojciechowska.

Podziękowania dla red. Wojciecha Słodkowskiego za dobre rady oraz wsparcie duchowe.



Na słuchawce

Kamil Dębowski

Z uwagi na uwarunkowania społeczno-ekonomiczne złożyło się tak, że na rynku łódzkim wiele firm zlokalizowało swoje tzw. telefoniczne biura obsługi klienta. Po części powodem tego jest fakt, iż w Łodzi łatwiej o tańszą siłę roboczą niż w takich miastach, jak Warszawa czy Kraków. Nie bez znaczenia są też ceny wynajmu czy zakupu lokali, w których firmy lokalizują swoje call-center. Można postrzegać to dwojako. Z jednej strony nie jest dobrze, że w Łodzi płać mniej niż w innych dużych miastach. Z drugiej strony, skoro jest taniej, to rynek ma szansę dynamicznie się rozwinąć. Pomijając zaś aspekty finansowe, które na pewno są ważne w biznesie, filarami takich firm są ludzie. Chodzi tu najczęściej o studentów, którzy potrafią w łatwy sposób adaptować się do nowych zadań oraz są w stanie w profesjonalny sposób obsługiwać klientów. Szerokie grono studentów jest istotnym czynnikiem w planowaniu wejścia na łódzki rynek przez wielkie marki, a do takich bez dwóch zdań należą firmy, które posiadają już w Łodzi swoje główne biura obsługi klienta. To takie potęgi jak CitiBank, mBank, Telekomunikacja Polska, operatorzy sieci Plus, Play czy T-Mobile i wiele innych. Do pracy w tych ostatnich, czyli telekomach, nie wystar-

czy wiedza dotycząca obsługi klienta, ale także z technologii teleinformatycznych. Przecież w dzisiejszych czasach telefon to nie jest już tylko zwykłe urządzenie z cyferblatem do wybierania numeru.

Ilu z was pamięta czasy, kiedy by posiadać w domu telefon, trzeba było mieć dobrego znajomego, który miał jeszcze lepszego znajomego, by takowy telefon nam załatwić? Sprzęt, jaki otrzymywaliśmy po długim oczekiwaniu, był najzwyklejszym w świecie aparatem stacjonarnym, uwiązany kablem do domowego gniazdka. Nigdy nie było wiadomo, kiedy przestanie działać, ale wtedy nikt do nikogo nie miał pretensji. Każdy cierpliwie czekał na usunięcie awarii.

W dzisiejszych czasach telefony nie są już uziemione kabelkami. Można je zabrać w kieszeni w każde miejsce. Nie służą tylko do wykonywania połączeń. W naszym kraju tych mobilnych urządzeń mamy więcej niż wszystkich obywateli. Technologia nas wyprzedza. Nie zdajemy sobie sprawy, ile możliwości dają te urządzenia i na jakiej zasadzie funkcjonują. Każdy, kto czyta ten materiał, miał styczność z telefonią komórkową. Każdy miał z nimi mniej-

szę lub większe przejścia i problemy. Czy nie zdarzyło się tak, że nie udało się wysłać SMS-a, bo „sieć jest zajęta” lub przerywa połączenie, bo „coś z zasięgiem”? Do częstych przypadków należą takie sytuacje, kiedy próbujemy wysłać MMS-a, a nasz telefon nie jest odpowiednio skonfigurowany, więc nie jest to możliwe. Takie i inne problemy można by mnożyć, ale gdy pojawia się kłopot, to należy znaleźć jego rozwiązanie.

Ciekawym jest fakt, że kiedy kupimy radio samochodowe i nie wiemy, jak je zaprogramować, szukamy odpowiedzi w instrukcji. Gdy kupimy nową pralkę i zastanawiamy się, jak włączyć pranie, to... bierzemy instrukcję! W przypadku telefonii komórkowej i usług z nią związanych utarło się, że jeżeli nie wiemy, jak zmienić ustawienia w telefonie, nie sięgamy po instrukcję. Wtedy wszystkim, czego potrzebujemy, jest numer do tzw. biura obsługi klienta lub inaczej „na hotline”.

Oni

Ci, którzy siedzą po drugiej stronie słuchawki i obsługują klientów w telefonicznych biurach, to dla wielu osób obiboki, popijające kawę gdzieś przy biurku, którym nie chce się ła-

skawie odebrać telefonu, aby załatwić, jak wielu sądzi, bardzo proste sprawy i odpowiedzieć na wręcz błahę pytania. Udało mi się porozmawiać z pracownikiem jednego z polskich telekomów. Hubert jako konsultant call center pracuje już ponad dwa lata. W tej branży można go uznać za doświadczonego pracownika. Skończył geografę na Uniwersytecie Łódzkim, lubi podróżować po Polsce i świecie, zna biegle język angielski. Jeżeli zobaczylibyśmy go na ulicy, to oprócz tego, że ma ponad 190 cm wzrostu, niczym się nie wyróżnia z grona mężczyzn w jego wieku. Szczupły blondyn o szarych oczach.

- Hubert, jak to jest z piciem kawy? Zdarza Ci się nie odbierać telefonu, tylko delektować się jej smakiem?

- Haa... Przede wszystkim, w mojej pracy trudno mówić o odbieraniu telefonu. Mam na głowie słuchawkę, które podłączone są do komputera. Połączenia „wpadają” niemalże jedno za drugim. Na aplikacji w komputerze widzę od razu, kto dzwoni. Zanim klient skończy zadawać pierwsze pytanie muszę wiedzieć, co dzieje się u niego na koncie i jak na takie pytanie od razu odpowiedzieć. Co do kawy przyznam szczerze, że nieraz mam na nią ochotę. Szczególnie rano, kiedy przychodzę do pracy i widzę, ile mam maili z nowymi promocjami czy procedurami, z którymi muszę się zapoznać zanim odbiorę pierwsze połączenie. Często się zdarza, że kawy nie zdążę sobie zrobić, a potem wpada się już w „wir” połączeń i tylko na przerwach jest chwila oddechu.

- Wir połączeń? Ile średnio takich połączeń dziennie odbierasz i jak długo one trwają?

- Średnio odbieram ok. 80 – 90 połączeń w ciągu 8 godzin pracy. Zdarzają się dni, gdy jest ich ponad 150. Co do czasu połączenia to bywa różnie. Czasem klient ma setki pytań i trzeba z nim rozmawiać przeszło godzinę. Średnio rozmowa trwa ok. 3-4 minut.

Podczas rozmowy z Hubertem dowiaduje się wielu ciekawych rzeczy o pracy na tzw. słuchawce. - Od większości osób daje się wyczuć nieprzychylny ton głosu w słuchawce. W większości są to rozmowy roszczeniowe, ale to chyba logiczne. Kto dzwoni do biura obsługi klienta powiedzieć, że ma super zasięg w swojej okolicy albo od kilku miesięcy nie miał żadnego problemu ze swoim telefonem? Ludzie telefonują głównie z problemami. Zdarza się nawet, że nie są to problemy związane z telekomunikacją. Kiedyś dzwoniła pani, żeby zgłosić, że radio w jej domu zaczęło odbierać słabiej niż zwykle - wspomina Hubert - albo jeden pan pytał, czy będę mu wstanie podać wyniki Dużego Lotka z ostatniego dnia.

Tego typu sytuacje przynajmniej wprowadzają dozę humoru do dość monotonnej pracy. Zdarzają się również takie, które powodują, że ma się ochotę rzucić to zajęcie. Wielu osobom wydaje się, że ludzie tam pracujący mają „stalowe nerwy”, na których można wylać wszystkie żale i frustracje spowodowane przez życie. Rzeczywistość jest jednak taka, że z reguły siedzi tam młody człowiek, dla którego jest to pierwsza praca. Nie ma on doświadczenia. Nie jest to robot słu-

żący do wysłuchiwania rozkazów ani zbierania skarg. To tylko zwykły człowiek.

Poligon

Od chwili, gdy konsultant przyjdzie do pracy, jest „przypięty” praktycznie przez 8 godzin do swojego ciasnego boksiku z komputerem. Monitoruje się go na wszystkie możliwe sposoby oraz traktuje jak nieczłowieka. Jednym ze sposobów kontroli jest średni czas rozmów. Jak powiedział Hubert, zazwyczaj rozmowa trwa 3-4 minut. Taki też powinien być uśredniony czas rozmów w skali tygodnia lub miesiąca, aby konsultant dostał premię. Wystarczy, że w ciągu tygodnia trafi się kilku „filozofów”, którzy lubią sobie pogadać o niczym i męczą po kilkadziesiąt minut, a o premii można zapomnieć. Po losowo wybranych rozmowach do klienta oddzwania specjalny ankieter, który pozwala ocenić jakość obsługi. Jest to kolejny czynnik, który wpływa na premię. Te wymogi kolidują ze sobą. Jeśli konsultant nie odpowie na wszystkie pytania i będzie starał się szybciej zakończyć rozmowę, to automatycznie nie może liczyć na dobrą ocenę.

Kolejnym narzędziem kontroli jest monitoring połączeń. Oznacza to, że rozmowy są nagrywane. Kilka w miesiącu jest wybiórczo odsłuchiowanych. Gdy wykryje się w nich jakieś nieprawidłowości lub błędnie przekazane informacje, automatycznie premia jest obcinana. Czasem młody pracownik ma prawo poczuć się w swoim boksie



jak żołnierz na poligonie pod ostrzałem artyleryjskim.

-Jak dajesz sobie z tym wszystkim radę? To wygląda na bardzo ciężką pracę.

- To jest ciężka praca, choć z zewnątrz wygląda na dosyć łatwą i przyjemną. Jak inaczej można postrzegać siedzenie w biurze i odbieranie telefonów?

- Fakt, ale nie narzekasz?

- Generalnie nie jestem z tych, którzy lubią narzekać, ale mogę Ci powiedzieć, że nie jest łatwo. Oprócz wszelkiego rodzaju monitorowania rozmów pod kątem czasu i przekazywanych wiadomości, dochodzą jeszcze tzw. cele sprzedażowe. W ciągu miesiąca trzeba przedłużyć określoną liczbę umów i aktywować usługi dodatkowe. Gdy zdarzy się, że na tydzień się rozchoruję albo wezmę urlop, to o zrealizowaniu celu w miesiącu mogę raczej pomarzyć.

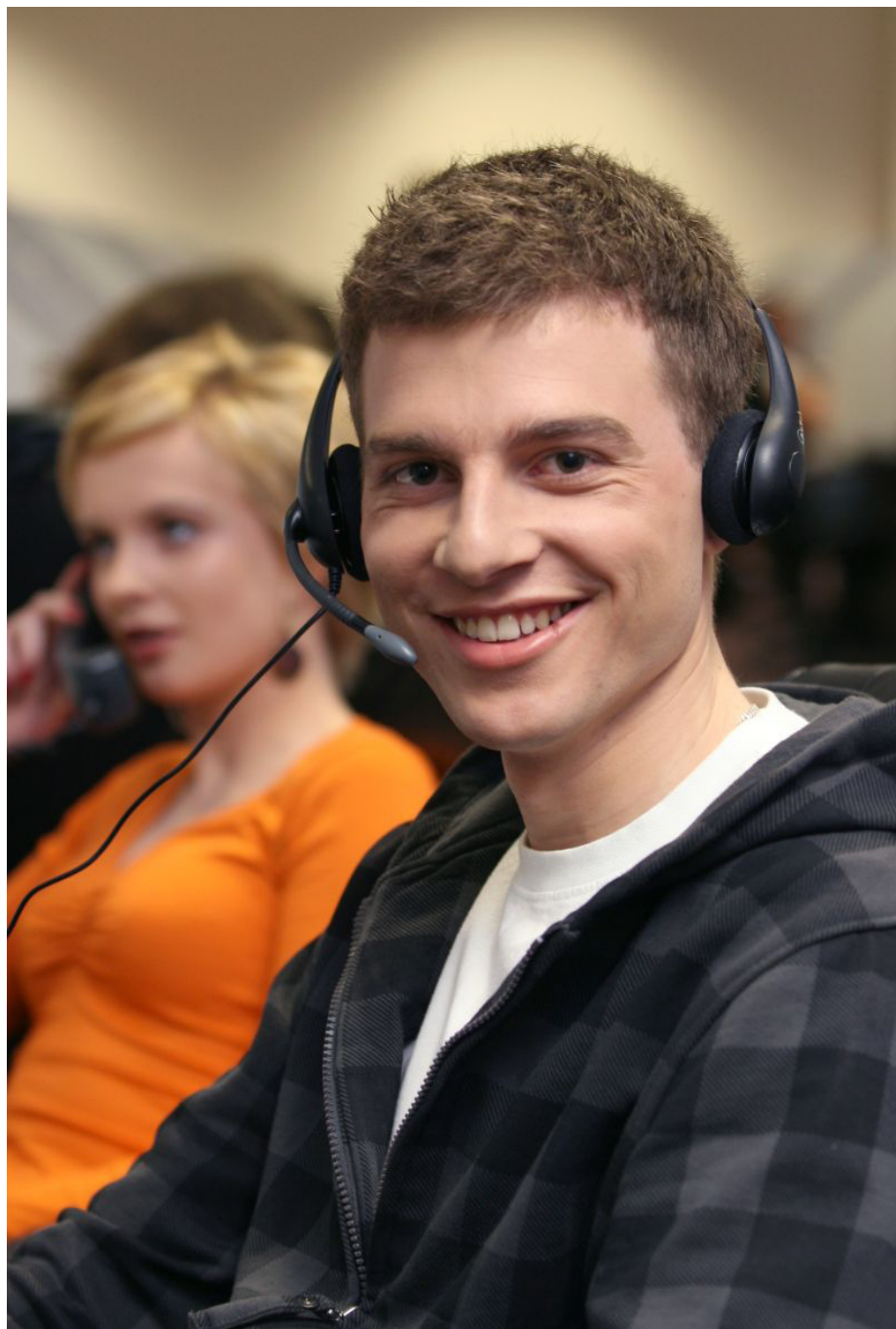
- Myślisz, że w innej pracy byłoby lepiej?

- Jak to mówią... wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Wiem, że każdy zawód ma swoje plusy i minusy, a polski rynek pracy nie jest rynkiem łatwym. Tym bardziej ten łódzki, w którym nie można sobie wybierać i przebierać. Na tę chwilę cieszę się taką pracą, jaką mam i staram się z niej czerpać pozytywy, a o negatywnych aspektach nie myśleć. Nie ma co się zamartwiać, kiedy coś nie idzie. W niczym to nie pomaga. Gdy mi się nie układa, staram się przypominać sobie o przysłowiach, które bardzo lubię. Mam problem z realizacją celów, więc powtarzam sobie „Gdy ktoś nie chce - znajdzie powód, gdy ktoś chce - znajdzie sposób”. W przypadku, kiedy mam jakiś problem, staram się ustalić, czy da się go jakoś rozwiązać, powtarzam w myślach: „Gdy problem, którym się martwisz, da się jakoś rozwiązać, to nie masz czym się martwić. Gdy problemu, który cię martwi, nie da się rozwiązać, to też nie masz się po co martwić”. Grunt to pozytywne podejście do życia, a z tym wszystko jakoś już się układa.

Jak widać, mimo niełatwych godzin spędzonych na potyczkach z klientami, można zachować spokój i optymizm.

Apel

Żyjemy w świecie, w którym nowoczesne technologie zewsząd nas atakują. Społeczeństwo staje się coraz bardziej z informatyzowane. Wiele firm, praktycznie z każdej branży, stara się zapewnić swoim klientom obsługę na najwyższym poziomie. Biura telefonicznej obsługi klienta powstają, aby pomagać w najbardziej przyziemnych sprawach. Zajadając smaczne ciasteczka o smaku malinowym,



możemy znaleźć na opakowaniu numer i zadzwonić do biura obsługi klienta tejże firmy, żeby zapytać czy mają też w ofercie takie same ciastka, ale o smaku wiśniowym. A jeżeli tak, to gdzie możemy je kupić w swoim regionie? Przykład ten wydaje się wyimaginowany, ale wiercie mi, że są osoby, które dzwonią w tego typu sprawach.

Jeżeli kiedyś przestaniesz wam działać telefon lub będziecie mieć jakiś problem i zadzwonicie, to pomyślcie wcześniej, że po drugiej stronie siedzi zwykły człowiek. Pomyślcie, że osoba ta ma takie same problemy jak każdy, że miewa lepsze i gorsze dni. Zastanówcie się, czy nie lepiej do takiej rozmowy podejść na spokojnie i z dystansem? Czy takim postępowaniem nie zyskamy więcej niż wybuchem gniewu wobec innego, Bogu ducha winnego, człowieka? Osoby pracujące w telefonicz-

nych biurach obsługi klienta to najczęściej młodzi ludzie, którzy starają się zarabiać swoje pierwsze pieniądze i pomagają nam, jak tylko potrafią. Na pewno nie siedzą bezczynnie. Praca, którą wykonują nie jest ani łatwa ani dobrze płatna. Dlatego starajmy się tych młodych ludzi wspierać, a nie zniechęcać do pracy.

Co do samego rynku łódzkiego fakt, iż studenci mogą pracować w telefonicznych biurach obsługi klienta, których jest dużo do wyboru, to zdecydowanie pozytywny aspekt. Mimo tego, że praca ta nie należy do łatwych, pozwala rozwijać się na wielu płaszczyznach, a także przygotowuje studentów łódzkich uczelni oraz absolwentów do wkroczenia na ścieżki kariery zawodowej.

Kamil Dębowski

Erasmus – czyli student za granicą

Wywiad z Przemkiem Kmiecikiem, który 1 września 2009 roku wyjechał na studia do Wiednia w ramach programu Erasmus.

Rami Khalife

Projekt ten jest częścią europejskiego programu LLP (Lifelong Learning Programme – dosł. tłum. 'uczenie się przez całe życie'). Przemek studiował biotechnologię na Universität für Bodenkultur Wien (BOKU), czyli Uniwersytecie Zasobów Naturalnych i Nauk Przyrodniczych. Z wymiany studenckiej wrócił 30 września 2010 roku.

Skąd wziął się u Ciebie pomysł, żeby studiować biotechnologię?

Kierunek studiów wybrałem przypadkowo. Moim zamiarem było pójść na matematykę stosowaną, ale tuż przed złożeniem papierów na Politechnikę zmieniłem zdanie, bo biotechnologia brzmiała ciekawiej.

Czy z biegiem czasu pojawiły się wątpliwości co do wyboru kierunku studiów?

Oczywiście, w trakcie studiów kilka razy pojawiło się zwątpienie. Chemia organiczna i nieorganiczna niejednokrotnie dała mi się we znaki. To trudny kierunek.

Gdybyś nie wybrał biotechnologii, to...?

Gdyby nie biotechnologia, nie mam zielonego pojęcia, co bym studiował. Może matematykę, tak jak planowałem zanim zdecydowałem się zmienić kierunek. Jednak jestem pewny, że przerwałbym matematykę po semestrze lub dwóch.

Czym się interesujesz?

Konkretnego hobby nie mam. Lubię słuchać muzyki, szukać informacji o świecie, zbierać zdjęcia islandzkich wulkanów. Na więcej pasji na razie nie mogę sobie pozwolić, bo brakuje mi czasu. Jeżeli chodzi o gatunki muzyczne, to trudno mi je sprecyzować, bo słucham różnej

muzyki. Najchętniej gitarowej, od rocka po metal. Lubię również muzykę elektroniczną, klasykę, reggae. Ulubionych zespołów mam bardzo dużo, więc trudno byłoby wymienić wszystkie. Z polskich np. Farben Lehre, Zmaza, Strachy na Lachy, Homo Twist i ostatnie projekty Maleńczuka. Z obcojęzycznych np. Sigur Rós, Rammstein, Alice In Chains, Bush, Múm, Ska P, Sonic Youth. Jeżeli tylko mam taką możliwość, to staram się zobaczyć ich koncerty.

Jak wygląda cała procedura związana z wyjazdem w ramach programu Erasmus?

Kiedy zdecydowałem się na wyjazd, zgłosiłem się do Wydziałowego Koordynatora programu. Aby wyjechać, należy na początku wystosować podanie do dziekana o zgodę na wyjazd; wypełnić zaświadczenie o średniej ocen z ostatnich dwóch semestrów (podpisane przez dziekana); zdać egzamin z języka wymaganego przez uczelnię partnerską. Zdawałem język niemiecki. W przypadku zakwalifikowania się na wyjazd, należy wypełnić Application Form (Formularz Wniosku), zawierający Learning Agreement (Porozumienie o Programie Zajęć), w którym wpisujemy przedmioty, jakie chcemy zaliczyć za granicą. Przedmioty muszą się zgadzać z programem studiów na uczelni macierzystej. Learning Agreement musi zostać podpisany przez wydziałowego koordynatora oraz dziekana ds. studenckich. Następnie jest on wysyłany do uczelni w celu potwierdzenia. W przypadku otrzymania podpisanego Learning'u, sprawa jest już załatwiona. Należy jeszcze tylko dostarczyć zaświadczenie o numerze konta bankowego, na które ma być przelane stypendium Erasmus.

Co skłoniło Cię do wyjazdu na studia zagraniczne?

Wyjechałem przede wszystkim z czystej ciekawości. Chciałem zobaczyć, jak wygląda

życie studenckie w innym kraju. Poznać ludzi z całej Europy studiujących ten sam kierunek, którzy tak jak ja postanowili sprawdzić się w nowym otoczeniu. Poza tym chciałem trochę zmienić klimat. Dla mnie Łódź nie wyróżnia się niczym szczególnym, Wiedeń zaś należy do najbardziej znanych miast na świecie. Dodatkowym impulsem była możliwość skorzystania z dobrze wyposażonych laboratoriów. Wcześniej słyszałem wiele na temat tego miasta, chyba jak każdy. O szkole nie wiedziałem zbyt dużo, oprócz tego, że jest to uczelnia techniczna, dosyć wyspecjalizowana w naukach przyrodniczych.

Dlaczego wybrałeś tę uczelnię?

Oczywiście były inne szkoły, ale ponieważ wcześniej uczyłem się języka niemieckiego, chciałem spróbować wykorzystać tę wiedzę aktywnie i sprawdzić, czy jestem w stanie poradzić sobie bez języka polskiego. Dlatego też mój wybór padł na Wiedeń. Taka przeprowadzka zawsze jest trudna, bo trzeba zostawić to, co się zna i przenieść się w całkiem obce miejsce, gdzie wszystko zaczynasz od zera.

Czy trzeba być odważnym, żeby zdecydować się na studia za granicą?

Odwaga to zbyt dużo powiedziane. Potrzebna jest raczej ciekawość świata. Nigdy nie ma się 100% pewności. Zawsze będzie jakieś „ale”, dlatego jadąc do Wiednia nie byłem przekonany o słuszności tego wyboru. Wiedziałem, że chcę spróbować czegoś nowego, czegoś bardziej wymagającego. W tym wypadku było to studiowanie w języku obcym i życie w kompletnie nowym otoczeniu.

Jak wyglądały Twoje pierwsze dni?

Początki w obcym mieście zawsze są trudne. Potrzeba trochę czasu do zaaklimatyzowania się. Większość uczelni partnerskich pomaga w tym przydzielając tzw. „Buddy” (student uczelni partnerskiej, który odbiera studentów

przejazdnych z lotniska lub dworca i pomaga dotrzeć do mieszkania albo akademika; załatwić formalności na uczelni, w celu uzyskania legitymacji studenckiej; w legalizacji pobytu w Urzędzie Miasta). Za późno wziąłem się za szukanie miejsca w akademiku. Nie było już wolnych miejsc, dlatego na własną rękę znalazłem sobie pokój. Mieszkałem ze studentką Politechniki Wiedeńskiej. Z pochodzenia była Polką, ale od kilkunastu lat przebywała w Austrii. Mieszkanie mieliśmy bardzo przyjemne, takie standardowe, 2-pokojowe. Jeżeli chodzi o odległość od uczelni, była całkiem spora, ale ze względu na metro podróż nie trwała długo, ok. 20 - 25 minut. A i droga na przystanek zajmowała mi jakieś 2 minuty. W pierwszych dniach pobytu uczelnia zorganizowała „Welcome days”, podczas których studenci pokazywali nam cały obiekt, przygotowali obiad z tradycyjnym jedzeniem austriackim i wycieczkę po mieście z przewodnikiem.

Ile czasu tam byłeś?

Spędziłem tam cały rok, ponieważ dodatkowo zostałem w Wiedniu na praktykach w terminie 30 czerwca – 30 września 2010 r.

Jakie nastawienie mają studenci austriaccy do studentów z wymiany?

Studenci są pozytywnie nastawieni do „Erasmusów”, studentów z wymiany. Są bardzo pomocni, choć każdy potrzebuje czasu, żeby nawiązać dobre znajomości. Spędzając z tymi ludźmi każdą chwilę na uczelni, dosyć łatwo jest nawiązać znajomości, poprzez porównywanie zwyczajów życia w obu krajach.

Z którymi narodowościami zła- pałeś najszybszy i najlepszy kon- takt?

Trudno powiedzieć. Bardzo dużo czasu spędziliśmy razem, jako Erasmusi. Chodziliśmy na te same imprezy, wykłady, ćwiczenia i laboratoria. Jeździliśmy na te same wycieczki. Najlepiej dogadywałem się z Hiszpanami, Francuzami i Czechami.

Czy zauważyłeś wyraźne różnice w sposobie nauczania?

Przed wszystkim nie ma stałego terminu sesji. Egzamin jest wtedy, gdy się kończy wykład, ćwiczenia czy laboratorium. Nie trzeba od razu podchodzić do egzaminu, można go zdać w następnym semestrze lub roku. Nie ma opłaty za brakujące punkty. W semestrze są tylko 3 przedmioty, które muszą być zaliczone, żeby odblokować możliwość zameldowania się na zajęcia z kolejnego semestru. Resztę można zaliczyć

w późniejszym czasie. Wykłady pomimo, że były prowadzone po niemiecku, to prezentacje multimedialne odbywały się w języku angielskim. Wszystkie materiały dostępne były dla studentów po zapisaniu się na przedmiot. Dodatkowo jest wymóg, żeby przy pierwszym stopniu (bachelor – studia pierwszego stopnia), zaliczyć minimum 2 przedmioty po angielsku, natomiast przy drugim (master – studia drugiego stopnia), obowiązkiem jest 5 takich przedmiotów. Laboratoria uniwersyteckie są bardzo dobrze wyposażone. Każdy student robi wszystko sam, ma dostęp do wszelkich urządzeń, może się nauczyć ich obsługi.

Czy utkwiła Ci w pamięci jakaś wyjątkowa historia?

Cały rok na Erasmusie był wyjątkową przygodą. Wiedeń jest miastem ze świetną ofertą dla studentów i ludzi młodych. Ogromna liczba restauracji, klubów, kin, teatrów czy oper. Poza nauką zwiedzałem miasto i okolice, chodziłem na międzynarodowe erasmusowe imprezy. Byłem na wielu koncertach, od kapel garażowych po The Prodigy, Alice In Chains czy Rammstein. Dopiero gdy pojechałem do Wiednia i poszedłem z całą grupą na „Zauberflöte” Mozarta („Zaczarowany flet”), chociaż, nie był to mój pierwszy raz w operze, widowisko zrobiło na mnie duże wrażenie. Zacząłem interesować się klasyką.

Czy pracowałeś podczas studiów w Wiedniu?

Na początku pracowałem w restauracji i w ten sposób dorabiałem. Potem, zacząłem praktykę wakacyjną w Instytucie Genetyki i Biologii Komórki na

University of Natural Resources and Life Sciences w Wiedniu.

Jak zmieniło się Twoje życie po Erasmusie?

Wróciłem do Polski, żeby skończyć studia, pozaliczać ostatnie egzaminy i napisać pracę magisterską. Zmieniło się moje postrzeganie rzeczywistości. Nie jestem ograniczony tylko do jednego kraju, jeżeli chodzi o moją przyszłą karierę. Jestem bardziej otwarty na ludzi, bo spędzając czas z taką mieszanką kulturą i językową, otwiera się w pewnym sensie umysł. Poprawiła się moja znajomość języka niemieckiego i angielskiego, zyskałem masę znajomych w całej Europie i nie tylko. Potrafię poradzić sobie w sytuacjach stresowych, jak zaliczanie egzaminów i życie w kompletnie obcym miejscu. Posiadam umiejętność pracy w grupie. Na to dzisiaj zwracają uwagę pracodawcy.

Czym obecnie się zajmujesz?

Teraz moje życie jest dosyć stresujące ze względu na ilość pracy i jednocześnie przygotowywanie się do egzaminu dyplomowego, który będzie jeszcze w grudniu. Gdy tylko dostanę dyplom, zacznę studia doktoranckie na Uniwersytecie Wiedeńskim, tak więc mam zajęcie na najbliższe 3-4 lata. Do tego pracuję w Instytucie Biochemii i Biologii Komórki Uniwersytetu Wiedeńskiego jako techniczny asystent. To jest powód, dla którego na razie nie myślę o powrocie. Patrząc z perspektywy czasu - tak, warto było. Jestem szczęśliwy i zadowolony z życia, jakie prowadzę.

Rozmawiał Rami Khalife





foto: Mariusz Jabłoński

Ucieczka do „Spalonych Słońcem”

Karolina Radwańska

Na mapie Łodzi pojawiło się kolejne ciekawe miejsce – cafe bar „Spaleni Słońcem”. 17-go grudnia, w sobotę, kawiarnia miała swoje huczne otwarcie.

W miejscu, gdzie kiedyś mieściło się łódzkie „Chinatown”, powstało centrum Off Piotrkowska, czyli nowe kulturalno-rozrywkowe miejsce. Mieszczą się tu nie tylko kluby i kawiarnie, ale także księgarnia, wydawnictwo, pracownice architektów i projektantów, butik, a nawet mini-skatepark. Łącznie 27 firm, które mają działać w ramach projektu Off Piotrkowska. Wszystko to w starej łódzkiej fabryce, należącej kiedyś do Franza Ramischa, znajdującej się przy ulicy Piotrkowskiej 138/140.

Oryginalne wyposażenie łódzkiego zakładu WI-MA stało się głównym elementem wystroju „Spalonych Słońcem”, które współtworzy niepowtarzalną atmosferę. Wszystko dzięki Stanisławowi Zarębie. Pomagał wszystko pozyskać i chętnie wspiera wszelkie lokalne inicjatywy. Za bar posłużył stary stół montażowy z szufladami, na których widnieją oryginalne tabliczki mówiące o ich przeznaczeniu. Stoliki powstały na specjalne zamówienie cafe baru, a ich podstawą są warsztatowe podpory zwane „kobyłkami”. Nastrojową atmosferę, która współgra z całością, buduje także wielkoformatowe malarstwo naściennego młodego łódzkiego malarza Jana Jubaala Wasińskiego. „Leniwe, nostalgiczne, odrobinę dekadentkie obrazy mają przywoływać atmosferę końca lata i sentyment za młodopolskim malarstwem. Motywem łączącym są sylwetki ptaków ‘latających’ po całym lokalu” – dowiadujemy się ze strony „Spalonych Słońcem”.

- Nasz lokal wyróżnia się na tle innych poprzez połączenie niskich cen i wysokiej jakości. Piwa Lech można się u nas napić już za 5 zł, kawy od 4 zł, a wszyscy pracownicy zostali przeszkoleni przez mistrza latte art, baristę Radosława Darnowskiego. Obecność w naszej ofercie legendarnego Łódzkiego Portera i Mocne-

go Łódzkiego podkreśla związek z miastem. W sprzedaży znajdują się również piwa z innych regionów, m.in. uznany przez smakoszy Browar Fortuna – mówi Ewa Maciejewska z cafe baru.

Do tego wino, drinki i wódka w przystępnych cenach. Już niedługo w „Spalonych Słońcem” będzie można również zjeść późne śniadanie, lunch czy przekąskę do piwa, bowiem w ofercie najdą się m.in. kisze czy grzanki z różnego rodzaju pastami. A wszystko to przy dobrej muzyce. Z głośników płynie jazz, soul, piosenki francuskie.

W sobotę i niedzielę (17. i 18. grudnia) odbyły się „drzwi otwarte” Off Piotrkowskiej. Sobotnie atrakcje zaczęły się od godz. 12 zawodami deskorolkowymi na minirampie, zorganizowanymi przez Piotra Dabova z Pogo, podczas których riderzy z całej Polski popisywali się swoimi trikami. I właśnie otwarciem „Spalonych Słońcem” o godz. 20 zakończył się sobotni wieczór.

- Otwarcie udało się, ilość gości przerosła nasze oczekiwania, publiczność dobrze się bawiła przy muzyce granej przez dwóch DJ-ów: Papa Zurę i Jerema. Off Piotrkowska Center ma na celu uciec od zgiełku i dzikich tłumów, które irytują wszystkich na Piotrkowskiej. Wcześniej nie było alternatywy dla głośnych dyskotek i klubów, a teraz są „Spaleni Słońcem” – kontynuuje Ewa.

Z kolei w niedzielę odbył się kiermasz świąteczny Łódzkich Zakładów Przemysłu Twórczego w klubie DOM, również należącym do projektu Off Piotrkowska. Klub utworzył swoje podwoje 15 listopada.

Cały projekt jest pomysłem OPG Orange Property Group, właściciela fabryki Ramischa. Udostępnił on powierzchnię fabryki dla ciekawych i kreatywnych łódzkich inicjatyw. W taki sposób, oprócz „Spalonych Słońcem” oraz klubu DOM, powstała mebloteka Yellow, w której można kupić oryginalne meble.

Jest również showroom Pogo; ubrania, i nie tylko, firmy RUSH; concept store Neogotik, należący do młodej projektantki Pauliny Położ, która organizuje cykl imprez modowych „Ubiierz Alles!”, a także Neovintage, sklep z ubraniami w stylu vintage.

Ale Off Piotrkowska to nie tylko punkt, w którym można nabyć oryginalne ubrania czy napić się wyśmienitej kawy. Swoje miejsce znalazło tam także Centrum Edukacji Artystycznej Ferment, które organizuje warsztaty i zajęcia grupowe dla osób w każdym wieku. To wszystko z typowo łódzką muzyką w tle, bowiem tuż obok swojej salę prób ma zespół Psychocukier.

Właściciele powstających lokali i firm są zdeterminowani, by Off Piotrkowska stała się miejscem stworzonym przez ludzi i dla ludzi nie poddających się kulturze masowej oraz prezentujących unikatowe i niepowtarzalne dzieła, których nigdzie indziej nie znajdziemy. Niezaprzeczalnym atutem jest fakt, iż tyle atrakcji znajduje się w jednym miejscu. W ten sposób, chcąc uciec od głównego konsumenckiego nurtu ulicy Piotrkowskiej, wystarczy, że udamy się na zakupy do Off Piotrkowskiej, gdzie możemy odpocząć przy kawie w „Spalonych Słońcem”, a na wieczorne tańce udać się do klubu DOM. Wszystko to w odległości około metra od siebie.

Jedynym ograniczeniem tego miejsca zdają się być ludzie i ich wyobrażenia. Choć wydaje mi się, że zarówno z tym pierwszym, jak i drugim aspektem nie będzie problemu. Artystów chętnych do tworzenia jest wielu, a zainteresowanych ich dziełami jeszcze więcej. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak po ciężkim dniu udać się na Piotrkowską 138/140. A potem? Zobaczmy, bo możliwości jest bardzo wiele. Wystarczy samemu się przekonać.

Karolina Radwańska

Opowiem Ci o efekcie motyla

Joanna Grabarczyk

- Sebsu, opowiedz mi jakąś historię – prosiłam często, od kiedy dowiedziałam się, że jego ogromną pasją jest historia współczesna. Potrafił mówić o niej godzinami. „Małpował” Breżniewa. Wiedział, co Stalin trzymał pod biurkiem. Ze znanstwem cytował Suworowa o dowolnej porze dnia i nocy. O Specnazie opowiadał tak, jak gdyby sam niegdyś służył w jego szeregach. Słuchałam jak zaczarowana, bo zaledwie niecały rok dzielił mnie wówczas od matury historii. Właśnie przyjeżdżał go w pocztę licealistów. O jego wiedzy mogłam tylko cicho pomarzyć; takiego poziomu znanstwa jak on nie osiągnę nigdy. Brak mi wytrwałości, by zgłębiać dzieje. Tymczasem on to naprawdę kochał.

Chodził tyle lat...

- Czy ty wiesz, co za jaja?! – przybiega do mnie któregoś dnia, całkowicie rozemocjonowany.

- Była u mnie w domu policja! Jak tylko wróciłem z wakacji! – opowiada. Robi mi się słabo. Właśnie policja przechwyciła dużą ilość narkotyków, która miała zostać podzielona na porcje i rozprowadzona w Łodzi i w okolicy. Sebs śmieje się, choć w oczach ma gniewne błyski.

- Myśleli, że coś znajdują albo że kogoś wydam. Znaleźli tylko dilerki. Puste. I nowe lufy. Niczego nie mogą mi udowodnić. Myśleli, że mnie nastraszą. A figę! Jak tylko wyszli, to wiesz, co zrobiłem? Na cały regulator puściłem Kazika, no wiesz, tę piosenkę „Tata Diler”.

Sebs... Sprawia wrażenie kościstego, ale nie ma problemu, żeby jedną ręką zarzucić sobie mnie na ramię – zrobił to kiedyś dla żartu podczas jakiegoś koncertu. W jego oczach czają się wesołe chochliki. Powaga przychodzi mu z trudem. Podobna się dziewczynom i jest tego beczelnie świadom. Jego całkowicie wyluzowany sposób bycia i natura buntownika

dodają mu uroku. Patrzę na niego i zastanawiam się, kiedy powinien mu się noga?

...aż wpadł w niski ton...

Telefon rozdzwonił się niespodziewanie o 15.36, a na wyświetlaczu pojawiły się nieznane mi cyfry wskazujące na to, że rozmówca dzwoni z aparatu stacjonarnego. Głos ze słuchawki był smutny, zrezygnowany. Drżał i lekko łamał się w okolicach kropek i przecinków. Zupełnie nie pasował mi do osoby, która mówiła. Jego matka.

To był szok. Jego matka, najpiękniejsza ze znanych mi matek moich przyjaciół i znajomych, która odnosiła w pracy zaskakujące sukcesy, którą podziwiałam i stawiałam sobie za wzór silnej, współczesnej kobiety – dziś przyznała mi się do matczynej bezsilności.

Opowieść I

Chcę z nim porozmawiać. Natchnąć do czegoś innego. Pokazać kawałek innego życia. Martwię się o niego. Idziemy na spacer. Znowu proszę, by opowiedział mi jakąś historię. Jestem gotowa słuchać nawet o planach Stalina, chociaż i tak pewnie połowy z tego znowu nie zrozumie.

Deszcz przybiera na sile. Kryjemy się pod koroną wielkiego kasztanowca. Sebsu opowiada, co słyszał u starych znajomych.

- Coś ty, stąd nikt nie chce wyjeżdżać! Tu jest fajnie. Mila i Mateo mieszkają teraz tutaj niedaleko, obok supermarketu. Ta, kiedyś mieszkali na Piaskach, ale ich stamtąd wypieprzyli. Za co? Za codzienne awantury i imprezy. Mila wkurwiała się o znajomych Mata, że go wciągają w ćpanie. Ona to w ogóle dziwna jakaś jest... Wyznawca mnie od cholernych ćpunów, a za każdym razem, jak tylko mnie widzi, to pyta: „Sebsiu, a nie masz troszkę ziółka do spalenia?”. I zaraz żeby jej też dać... Niby studiuje, ale wiesz, jak to z nią jest. Ostatnio siedzimy u niej w kilka osób, Mateo wrócił, i od razu się pokłócili, bo wiesz, on ma u wszystkich na pieńku, i wpadł taki zdyszany, bo go w dziesięciu gonili za jakieś stare przekręty z dragami. No i się z Milą znowu pokłócił. Co tam się działo! Mila wypierdoliła mu ciuchy za okno, wszystkie po kolei. Potem

inne jego rzeczy. Zaczęli się bić – to znaczy, on jej nie uderzył, ale ona jego tak – a na końcu zabrała mu okulary, a on bez nich gówno widzi. No i on trzasnął drzwiami i wyszedł, zaryczany. Ona poleciała za nim, godzili się przed blokiem i ściskali. Ona go jeszcze broniła przed tą dziesiątką facetów, bo tam już wszyscy na niego czekali z wpierdolem. U nich to tak zawsze, dzień jak co dzień...

Złe towarzystwo

- To bardzo inteligentny chłopak, ale nie potrafię na niego wpłynąć. Nie wiem, co i kiedy się stało. Zawsze mieliśmy świetny kontakt, bardzo dużo ze sobą rozmawialiśmy. A teraz wraca do domu tak późno, że jeśli chce rozmawiać, to niemal zawsze mam pewność, że jest pod wpływem alkoholu. Wydaje mi się, że wpadł w złe towarzystwo – opowiada mi jego matka. Nie pasują do niej te wyznania, nie pasują też do tego miejsca. Szkłane misy, świeczniki oraz kwiaty tu i ówdzie nadają temu miejscu wrażenie artystycznego nieładu. Kiedy jednak przyjrzeć mu się dokładnie, okazuje się, że jest to nieład w pełni wystudiowany. Przywoływane przez nią widmo marginesu społecznego – tutaj to nie do pomyślenia. Mieszkanie jest świeżo po remoncie. Utrzymane w jasnej kolorystyce i bardzo czyste. Patrzę na jej dłonie, najpiękniejsze, jakie w życiu widziałam, o długich palcach i idealnych, owalnych paznokciach. Ręce Sebsa są do nich zupełnie niepodobne, większe, masywniejsze i kościste, a przecież również delikatne i niebywale zręczne. Wiem to, bo nie raz z piekielną precyzją skręcał przy mnie papierosy. I skrzęty. I jointy...

To jest przyszły olimpijczyk

Pewnego dnia Sebs stawiał się przed moimi drzwiami odstrojony jak nigdy. W garniturze i w starannie odprasowanej białej koszuli. Czarne buty lśniły czystością. Włosy, te jego prawie białe, niesforne, wieczne rozwiane we wszystkie strony, dzisiaj leżały w miarę układnie na głowie ich właściciela. Zatkąło mnie na dłuższą chwilę. On mnie jednak posłuchał!

- W tobie jedyna nadzieja. Naprawdę muszę zmienić szkołę. Nie minął jeszcze tydzień od rozpoczęcia roku szkolnego, a już chce mi się

rzygać na widok tych ludzi. Pomóż mi! Napisz mi podanie i jedźmy porozmawiać z dyrektorem twojego starego liceum! Skoro mówisz, że tam szanują indywidualistów...

W żołądku coś mi się przewróciło. Cóż, jednak słowo się rzekło. Sama namawiałam go na zmiany.

Czeka nas ciężka przeprawa, bo to najbardziej oblegane liceum ogólnokształcące w całym regionie. To klasa skompletowana z najlepszych spośród najlepszych uczniów, gdzie co roku jest po kilkanaście kandydatów na jedno miejsce. Szanse Sebsa, z jego średnią ocen „dwa z kawałkiem”, są jak jeden do miliona. Jak 80 pigułek Acodinu, zażytego na raz, wobec chorej wątroby. Jak kieliszek wódki wobec butelki denaturatu. Jak szanse na porzucenie uzależnienia od narkotyków.

Mimo wszystko idziemy. Taki był mój plan. Odciać go. Załatwić mu nowe życie. W tamtej chwili granoczyło to z cudem.

Niewiele się zmieniło w otoczeniu starym...

Początkowo dyrektor wcale nie chciał z nami rozmawiać. Zmienił zdanie, kiedy krzyknęłam, że to przyszyły olimpijczyk z historii.

Sebs się rozpromienia. Dyrektor odwraca głowę. Chwilę mierzą się spojrzeniami.

Od tego momentu zależało wszystko. Sebs znika za brązowymi drzwiami wraz z nim. Ja siedzę w poczekalni w sekretariacie i zaciskam kciuki tak bardzo, że kiedy uśmiechnięty Sebs wychodzi z gabinetu, całe są w białoczerwone plamy.

Grochem o ścianę

Dzisiaj Sebs już o tym nie pamięta.

- Kurwa, jak ja już miałem dosyć tej cholernej szkółki! – wyrzuca z siebie jednym tchem. Natychmiast się jednak reflektuje.

- To jest, nie zrozum mnie źle, bo zawdzięcza ci w chuj, że udało ci się tak to rozegrać i mnie tam przenieść. Tyle tylko, że ja już miałem dość. Dość nauki, dość tych kretynów i konfidentów, wyobrażasz sobie?! Donosili na mnie, że czasem ćpałem! Nie chciało mi się też w ogóle uczyć. Maturę miałem w tym roku. Chyba wszystko zdałem. Polski, WOS, angielski, no i matma. Wszystko na podstawie. I wiesz co? Pierdołę studia! Przynajmniej teraz. Wolę sobie trochę popracować i mieć na własne przyjemności – w jego głosie drży zadowolenie, drży tak samo jak i jego dłonie, które wyciągnął przed siebie i ogląda.

- Może złożyć papiery na historię? Tam się dostaje każdy debil, a ja historię kiedyś bardzo lubiłem. A może najpierw trochę popracuję... – ciągnie, oglądając swoje trzęsące się ręce. Jego oddech wionie jakimś dziwnym dymem,

ni to dopalaczami, ni to marihuaną. Zapytany o to, co palił, odpowiada, że łatwiej będzie mu dzisiaj wymienić to, czego nie tknął. Jak zwykle pyta mnie o papierosa i dostaje go.

Mógłbyś...

- Nie masz przypadkiem papieroska? – to pytanie zadaje mi zawsze w taki sam sposób. Przygarbione ramiona, głowa wysunięta do przodu, nieco pochylony nade mną, bo dawno mnie już przerósł. Uśmiech przymilny w stopniu tym samym, co i jego pytający ton.

A ja przypadkiem papieroska mam. Częstouję go jednym i czuję się okropnie. Sebs rozpromienia się.

- Wiesz co?! Chodźmy spalić trochę towaru! Mam go tutaj.

- Ja dziękuję. Mógłbyś rzucić to gówno. Strasznie cię zmieniło.

- Daj spokój. Chodźmy na klatkę schodową!

Najwyraźniej ma wprawę. Bez wahania naciska guzik i przedstawia się, jako roznoszający ulotki. Ludzie otwierają mu bez zbędnych pytań. Czasami tylko, kiedy słyszy głos starszej osoby, żąda grubym, szorstkim, agresywnym głosem:

- Otwiera! ZOMO!

Uważa, że to dość zabawne.

W klatce schodowej nie dba zbyt o ciszę. Nasłuchuje krótko czy nikt nie schodzi na dół. Potem spokojnie wyciąga portfel i wyłuskuje ze środka dilerkę z zielonkawoszarą, niezbyt przyjemnie pachnącym proszkiem. Z wyraźną wprawą nabija lufę. Widać, że używał jej wielokrotnie – od środka cała jest czarna, usmolona popiołem i dymem. Kiedy przytyka ją do ust i przypala, na twarzy ma wyraz skrajnego zadowolenia i szczęścia. Długo zaciąga się oparami, jak najdłużej. Tłumaczy mi, że najlepsze efekty uzyskuje się tylko wówczas, gdy dym pozostanie w płucach. Robi to zaledwie metr

ode mnie. Piorunuję go ciężkim wzrokiem, ale nie wywiera to na nim żadnego wrażenia. Podobnie jak to, że gdzieś na górze trzasnęły drzwi i na schodach słychać już tupot wielu nóg.

On ich nie słyszy. Podobnie jak i nie baczy na moje ostrzeżenia. Świat w tej chwili skomasował się dla niego do nabitej lufy i doznań, które rozgrywają się jedynie w jego wewnętrznym świecie, w jego własnej głowie.

- Wiesz, co to jest? To dopalacze. „Magic” i „Concret”. W sumie „Magic Concret”, to jest to! – śmieje się, przymknąwszy oczy.

Oparty o drzwi klatki schodowej, na nic nie zwraca uwagi.

- Boże, co za odłot... – szepcze. Kroki obcych ludzi, mieszkańców tego bloku, są coraz bliżej. Dookoła nas czuć śmierdzący, narkotykowy dym. Łapię Sebsa za ramię i szybko wyciągam w deszcz. Tyle dobrego, że posłusznie idzie, a nawet pamięta o tym, by wrócić się po zapomniany parasol.

Maszerujemy w milczeniu. Sebs skulony pod swoim zepsutym, kraciastym parasolem, ja bez osłony przed deszczem. Staram się iść w bezpiecznej od niego odległości, ale wystające z połamanego parasola druty i tak raz po raz przelatują mi niebezpiecznie blisko oczu. Sebs ma problemy z koordynacją ruchów.

- Nie masz już więcej fajek, prawda? – pyta mnie. Kiwam głową, że nie.

- Pieniądzy na fajki też już żadnych nie masz, prawda? – draży dalej, obrzucając tęsknym spojrzeniem mijany właśnie sklep monopolowy. Kłamię, że nie mam.

Kierujemy się w stronę stawu miejskiego na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Sebs milczy. Brak papierosów wyraźnie zepsuł mu nastrój.

- Sebsu, opowiedz mi jakąś historię – proszę. Ten zaczyna się śmiać.





- Opowiem, opowiem ci... Opowiem ci o efekcie motyla! – rechocze.

Opowieść II

- W zeszłą niedzielę, kiedy spotkałeś mnie i Madoxa, szliśmy na Starówę po towar. Chcieliśmy zająć. Zatrzymaliśmy się wtedy, żeby pogadać z tobą przy fajce. Madox, jak cię zobaczył i trochę pogadał, to potem mi całą drogę truł dupę o twój numer telefonu, ale mu nie dałem. To pojeb, chodzi naćpany po mieście ze snajperką i strzela do ludzi i do zwierząt. No, ale nieważne. Efekt motyla polegał na tym, że gdybyśmy byli tam te 10 minut wcześniej, gdybyśmy ciebie nie spotkali, to moglibyśmy spokojnie zjadać jointa i nic by się kurwa nie stało. A tak, Madox wpakował się prosto na gliny, kiedy chciał kupić towar w bramie, bo właśnie nadjechali suką. No i oczywiście go zwinęli a żeby było jeszcze śmieszniej, to ten debil zaczął się z nimi wyklócać, więc gratisowo dostał pałą po żebrach. Myślałem, że pękne ze śmiechu! No, ale resztę wieczoru musiałem spędzić sam. Efekt motyla, no nie?

Sebs szybko kończy temat, bo zbliżamy się do drzwi supermarketu. Nie chce dalej opowiadać, zbywa mnie byle czym. Zaczyna się po którychś z pytań. Wzdycham. Nic mi już nie powie. Chyba, że go jakoś przekupię.

Wychodzimy zaopatrzeni w paczkę papierosów i ogromną pakę chipsów. Sebs idzie obok mnie i nie zważając na deszcz, ładuje sobie do ust chipsy pełnymi garściami. Beszta mnie, że nie umiem nieść odpowiednio zepsutego parasola. Chcę, żeby opowiedział mi więcej o Madoxie.

Opowieść III

- W młodych żulach mnóstwo jest takiej agresji. Nawpierdala się taki jeden z drugim psychotropów, potem idą na ulicę. Są niebezpieczni. Na przykład

ten Madox, on już sobie z tego, kurwa, zdał sprawę. Już nie nosi broni.

Sebsu z żalem w oczach odrzuca na bok szeleszczącą pustą folię. Kiedy wymawiam się od zakupu kolejnej brakiem pieniędzy, kuca przede mną i podnosi z ziemi ćwiartkę chipsa, który wypadł z opakowania. Oskubuje go starannie z brudu chodnika a potem, jakby nigdy nic, wkłada do ust i spokojnie przeżuwa.

- Zaraz wracam – mówi – mam jeszcze lufę do ojebania. To dobra lufa, bogatą ma biografię, jeszcze mi dobrze posłuży – rechocze radośnie odchodząc pod ścianę. Deszcz monotonnie stuka dookoła nas, a w rynnie, o którą opiera się Sebsu, szumią strumienie wody. Rynna jest nieszczelna i woda zalewa mu kurtkę, on jednak nie zwraca na to uwagi. Jest całkowicie skoncentrowany na jak najdłuższym przytrzymaniu dymu z lufy w płucach. Oparty bokiem ciała o ścianę, wygląda niczym bezwładna, szmaciana kukła zawieszona na haku. Po chwili wraca.

- Madox to świr. Ma tę swoją stuninowaną snajperkę. Kiedyś poszedł na stadion, wiesz gdzie, nawalony dragami praktycznie do nieprzytomności. Zobaczył, że jakiś koleś gada przez telefon komórkowy. Facet stał dość daleko. No to wymierzył i strzelił. Prosto w głowę. W ten telefon. Kurwa, to jest jebany strzelec wyborowy! Telefon roztrzaskał się. Tamten koleś wkurzył się, zobaczył go, Madox w ogóle się nie krył, i ruszył w jego stronę. Wiesz, co ten świr zrobił? Spokojnie przeładował broń i wymierzył w tamtego. Facio zwątpił i uciekł. Madox bez wahania przestrzeliłby mu kolano i zostawił. I wcale by się nad tym nie zastanawiał.

Tak się robi

Sebs zaciąga się papierosem.

- A wiesz - zamyśla się – ja takich więcej znam. No co, to moi koledzy. Banda świrów i psychopatów. Wystarczy na ryje popatrzeć, żeby wiedzieć, że to margines. Ostatnio na imprezie na Retkini dałem kasę na zioło takiemu jednemu Andrzejowi. Miał przynieść. Kasę wziął i zniknął. Nie wrócił, ani z ziołem ani bez zioła. A wiesz, to Retkinia jest. Ja tam nikogo nie znam. Nie znajdę kolesia – kwituje spokojnie. Na pytanie, dlaczego zaufał komuś, kogo zupełnie nie zna i w dodatku powierza komuś takiemu pieniądze, tylko wzrusza ramionami.

- Tak się robi. Jak chcesz palić trawę, to tak się robi. Zawsze coś się może wysypać.

Pytam, co słyhać u jego rodziców. Sebs krzywi się i zamyka w sobie. Odpowiada zdawkowo. W końcu pytam go wprost:

- Skąd masz pieniądze na ćpanie?

- Pracuję. Tu i tam. Ostatnio jako ulotkarz. Ale mnie wywalili, bo za naklejanie ich ogłoszeń

na słupach ulicznych pracodawca zapłacił za mnie jakąś sporą karę. A ja nie wiedziałem, że na słupach nie wolno, że nigdzie nie wolno. Może mnie znowu przyjmą?

Kilka miesięcy później.

Opowieść IV

- Chodźmy na piwo – rzuca niewinnie Sebs.

Kiedy już jesteśmy w pubie, Sebs nerwowo przebiega z nogi na nogę.

- Eeee... ale ja nie mam pieniędzy. Chciałbym, żebyś mi postawiła - wyrzuca z siebie. Nie pojawia żadnych, ale to absolutnie żadnych śladów skrupowania. Jak zwykle.

Staram się, żeby to spotkanie przebiegało w miarę normalnie. Zaciskam zęby i stawiam przed nim szklankę pełną złocistego napoju. Pytam, co u niego.

- Ostatnio jeden świr chciał mnie przejechać. Za to, że umawiam się z jego ukochaną córeczką. Boże, co za pojeb! Wyszedł z domu i zaczął mnie napierdalać przed podjazdem ich domu. Cała wielka draka! Jej matka płacze, rodzeństwo patrzy, ona biega dookoła. A wiesz, jaki ja jestem. Ten facet był mniejszy ode mnie, no to mu wpierdoliłem, zatoczył się na płot i odbił od niego. Ale byłem po ćpaniu. A ten gnój pourywał mi guziki od zimowego palta. Gdzie ja znajdę drugie takie wielkie guziki? Schyliłem się i zacząłem szukać na podjeździe. Nie mogłem znaleźć, no i ledwo go zauważyłem. To psychopata! Wsiadł do samochodu, odpalił i na pełnym gazie ruszył na mnie! Ledwo zdążyłem odskoczyć na bok, skurwił by mnie przejechać. A z tą laską już się nie umawiam. Co za rodzinka! Ciekawe, na co ją stać!

Zaczyna boleć mnie głowa. Marzę o tym, by znaleźć się już u siebie w domu. Sama.

Z niewinnością żebraka

Kiedy mojemu życzeniu wreszcie staje się zadość, wchodzę do łóżka i zagrzebuję się w pościeli z laptopem. Odruchowo wybieram piosenkę z mojej playlisty i już wkrótce pokój wypełnia się głosem Kazika: „Chodził tyle lat, aż wpadł w niski ton...”. „Tata Ditera”. To jakiś znak? Nagle jednak moje rozmyślenia i refleksje nad nim zostają przerwane dźwiękiem dzwonka komórki.

- Cześć, tu Sebs. Nie masz ochoty się przejść? Nie? W ogóle? Ojej. Nawet na 10 minut? Oj. Bo ja jestem u ciebie pod blokiem. A możesz mi rzucić fajka przez okno, to sobie zapalę?

„Dobry chłopak był i mało pił Dobry chłopak był...”

Joanna Grabarczyk

Z PAMIĘTNIKA WŁÓCZYKIIA

Patrycja Sędecka

Lato, wtorek, godz. 21, Kutno

Wsiadamy z M. na dworcu. Chcemy dotrzeć do Sopotu. Pociąg nie gwarantuje nam, aż takiej frajdy, a przecież zaplanowałyśmy dzień czysto spontanicznego szaleństwa. Autostop? Czemu nie! Wszystkiego w życiu trzeba spróbować. I tak to właśnie się zaczęło - bez planów, bez mapy, bez większych pieniędzy. Chciałyśmy, poczuć się jak „dzieci leniwego popołudnia” – wypad nad morze, żeby poskakać przez fale i zjeść gofra na deptaku.

Do Kutna dotarliśmy pociągiem, bo tylko na tyle wystarczyło nam funduszy. Tam, niestety musiałyśmy już wysiąść. Siłą rzeczy, a raczej chęcią zanurzenia stóp w Bałtyku, doszłyśmy do wspólnego wniosku, że dalej „łapiemy stopa”. Nie zdążyłam dopalić papierosa, kiedy zatrzymał się pierwszy kierowca. Nie byliśmy przygotowane. Nawet nie miałyśmy kartki, dokąd chcemy jechać. Facet kierował się na Poznań. Te strony nie były nam po drodze, więc grzecznie podziękowałyśmy. Kolejne zaciągnięcie się tytoniem, błogi spokój, a zarazem mętlik w głowie i niepewność, czy się uda? Zaczyna zmierzchać. Malowniczy zachód słońca nad kontrastującym, szarym asfaltem. Stoimy przy drodze ekspresowej, gdzieś na obrzeżach Kutna. Zatrzymała się ciężarówka. Wsiadamy. Jadę ja, M., pan kierowca i 15 ton zboża. Miło nam się rozmawia, opowiadamy o sobie, o tym, co studiujemy, co nas pasjonuje. Jesteśmy podekscytowane, bo przecież pierwszy raz jedziemy „stopem”! Nasz rozmówca próbuje znaleźć nam transport od Kowala, gdzie niestety musi zjechać do swojej firmy. Porażka. Nikt, wywoływany przez CB radio, nie jedzie w kierunku Trójmiasta. Żegnamy się więc z miłym panem z ciężarówki i siadamy na trawniku obok jezdni, z nadzieją, że może jednak coś nadjedzie.

Papieros, łyk Pepsi, kolejny sweter na grzbiet, bo zaczyna być zimno. Dochodzi godzina 23, a my utknęłyśmy w jakiejś wsi, gdzie nie jeździ absolutnie nic. Dziwne uczucie. Z jednej strony strach, z drugiej chęć szyderczego wyśmiania całej tej sytuacji. Jesteśmy we dwie, co prawda nie za bardzo wiemy, gdzie dokładnie się znajdujemy, ale wierzymy, że będzie dobrze. Wokół same pola, a my nie mamy nawet namiotu. Kpi-na losu czy może nasza głupota? Nie, po prostu młodość i szaleństwo. Moja mama nazwałaby to brakiem odpowiedzialności. Dobrze, że o niczym nie wie.

Po mniej więcej trzydziestu minutach, dostrzegamy zmierną drogę w naszym kierunku. Mrużę oczy, czy aby na pewno dobrze widzę? Czuję się trochę jak w horrorze, zwłaszcza, że jest już całkiem ciemno. Wciskamy przycisk na przejściu dla pieszych, aby zatrzymać przybysza, gdyby nie chciał tego uczynić dobrowolnie. Kolejny tir, jeszcze większy od tamtego, na katowickich rejestracjach. Na naczepie widać przybrudzony napis jakiejś firmy budowlanej. Samochód zatrzymuje się na czerwonym świetle. Podbiegamy do niego, pełne nadziei, że może jedzie w kierunku morza. Gdziekolwiek, żeby tylko wyciągnąć nas z tej dziury. Otwieramy śmiało drzwi.

- Dokąd pan jedzie? - pyta M.

- Do Gdańska - odpowiada facet w średnim wieku, o aparycji kryminalisty.

- To jedziemy z panem! - krzyknęłyśmy zgodnie i bez wahania zapakowałyśmy się do kabiny.

Zdziwienie mężczyzny było chyba jeszcze większe, niż nasze, że jednak się udało. Jedziemy nad morze. Kierowca wydaje się dziwny. Zerka na nas spode łba, odpala papierosa od papierosa, nic nie mówi, nie zadaje też pytań. Droga w milczeniu chyba nie jest grzeczna, dlatego próbujemy subtelnie podjąć jakikolwiek temat. Szkoła, praca, życie, polityka... Cokolwiek! Wszystkie starania spełniają na niczym, a pan nie

chce z nami rozmawiać.

- Muszę na chwilę zjechać na bok - rzuciła w pewnym momencie od niechcenia. Dookoła las. Lekko panikujemy, przecież nie znamy tego człowieka. Może stereotypy o mordercach są prawdą? Może za chwilę wyciągnie łopatę i każe nam sobie własnoręcznie wykopać dół? Nie, przecież nie może być, aż tak źle, na pewno poszedł za potrzebą.

Wraca. Wydaje się być trochę bardziej wyluzowany. Odpala kolejnego papierosa. Powoli cedzi przez zęby, że jazda tirem to jego całe życie. Nie ma żony, mieszka tylko z synem, o ile „mieszka”, nie jest w tym przypadku zbyt wielkim słowem - bo przecież w domu bywa tylko w niedziele. Z każdym zdaniem coraz wyraźniej zarysowuje nam się portret psychologiczny smutnego człowieka.

- Nigdy nie zabieram autostopowiczów, wolę jeździć sam, ale wy jesteście miłe - słyszymy po godzinie wspólnej podróży.

Spędziliśmy razem sześć godzin, w jednej, ciasnej kabinie tira. Wszyscy przesiąknięci dymem papierosowym, wszyscy równie zaskoczeni, że był tak miły. Wymieniamy się numerami telefonów.

- Zadzwońcie dziewczyny, jak będziecie chciały wracać. Jutro jadę do Katowic, może akurat będzie wam pasowało, to was zabiorę. Jesteśmy zaskoczone.

Dworzec Główny, 4 rano, Gdańsk

Czekamy na pierwszą kolejkę podmiejską, która ma być dopiero za 50 minut. Zaczyna świtać. Nie wierzę, że za godzinę dotknę ręką piasku. W głowie mi się nie mieści, że przyjechałam tu stopem.

Megafoon ogłasza zaspanym głosem, że SKM-ka Wejherowo - Gdynia wjedzie na peron czwarty. Kwadrans później czuję poranny chłód piasku. Nie mamy ze sobą praktycznie nic, dlatego rozkładamy jeden jedyny ręcznik, przykrywamy się kurtką i idziemy spać. Na plaży. Jedno z piękniejszych uczuć, zasypiać o świcie przy dźwięku fal, czując na sobie przeszywający nadmorski powiew. Jestem potwornie zmęczona, a zarazem szczęśliwa - udało się. Teraz już wiem, w jaki sposób będę podróżować.

Stopem poruszam się do dziś. Na swoim koncie mam już tysiące kilometrów, znajomości z dziesiątkami fantastycznych osób, setki anegdot, które z wypiekami na policzkach, będę zapewne opowiadać swoim wnukom. Warto, naprawdę warto, bo autostop, to wspaniała przygoda. Plany na najbliższą podróż? Pojechać do Estonii. Znowu się uda. Wiem to.

Patrycja Sędecka



Black metal, czyli kobi

Joanna Grabarczyk

- To miała być z założenia impreza zamknięta. Scenografia będzie obrazoburcza, koncert też. Tam cię nie zna właściwie nikt z klimatu, nie masz zaproszenia. Ale spokojnie, poczekaj, postaram się jakoś cię tam wprowadzić – Michał patrzy zamyślony w dal i drapie się lekko za uchem.

Dwa dni później dzwoni do mnie telefon.

- Załatwione. Jedziemy! - rzuca krótko.

Świat (prawie) bez kobiet

Na tylnym siedzeniu samochodu Michała widzę jego gitarę elektryczną w czarnym pokrowcu i piec do niej.

- Wejdziesz jako techniczna! – informuje mnie ze śmiechem. Oznacza to mniej więcej tyle, że wejść za gwiazdą niczym giermek. Niosąc gitarę, oczywiście.

Otwieram schowek w poszukiwaniu mapy. Na kolana wysypuje mi się stos krążków black, death i thrash metalowych, jednak mapy ani śladu. Michał wzrusza ramionami.

- Tu nigdy nie było mapy. Nie ma jej gdzie trzymać, i tak wszystkie ulubione płyty się tu nie mieszczą. Droga na Wawę jest raczej prosta – wyjaśnia.

„Rockout! Rockout! Rockout!” – wyrzaskuje z głośników samochodowych Lemmy Kilmister z Motorhead.

Bo kobieta idealna to...

Na wejściu organizatorzy mierzą mnie nieufnym wzrokiem. Michał oświadcza, że

nie zagra, jeśli mnie nie wpuszczą. Ultimatum przyjęte. Po chwili ktoś wkłada mi do ręki pierwszą tego wieczoru plastikową szklankę z piwem. Za friko. Zostałam zaakceptowana.

Wnętrze klubu jest ciemne, bo to piwnica. Sufit wisi nisko nad nami, a poruszający się po klubie muszą manewrować między ławkami, stolikami i belkami wspierającymi strop. Jeszcze przeszło godzina pozostała do rozpoczęcia koncertu, lecz wewnątrz już spowite jest dymem papierosów. Po chwili wkraczają koledzy Michała, z którymi gra w jednym zespole. Przyjechali z zupełnie innej części Polski.

- Jest samochód, to i na próbę raz w tygodniu można sobie dojechać, gdzie się chce – stwierdza Michał.

Obserwuję scenografię. W tle płachta z nadrukiem. Kolorystyka utrzymana jest w czerni, bieli, szarościach, czerwieniach. Na scenie płatanina kabli, piec do gitar i perkusja. Mrocznie. Rozglądam się za „szokującą scenografią”. Dostrzegam jedynie dwie czaszki zatknięte na tyczkach. Słucham toczącej się obok rozmowy. Mayhem, legendarna blackmetalowa kapela z Norwegii, znana była z takich koncertowych ekscesów, jak rzucanie w publikę świńskimi łbami. Dzisiaj obejdzie się bez powtarzania tych wiekopomnych wyczynów. Powód? Informacja o tym koncercie wyciekła, organizatorzy boją się nalotu władz.

Na koncercie bawi się maksymalnie 30 – 40 osób. Pod koniec zostaje ich jeszcze mniej. Muzyka jest bardzo szybka, głośna, agresywna. Gitarowe riffy i piekielnie szybkie, agresywne blasty na perkusji wypełniają całe wnętrze. Do tego ryk lub growl wokalisty, który z reguły brzdąka też na gitarze lub na basie. Basista ma na twarzy maskę przeciwwgazową. Wokalista

pomazany jest na czarno. Ciało nagie od pasa w górę przepasane ma pasem z nabojami. Na nogach ciężkie buciory i spodnie khaki. Pod sceną bawi się niewielu fanów. Pogo idzie dosyć niemrawo – zbyt mało ludzi. Michał wybucha śmiechem na widok dwóch innych dziewczyn przyprowadzonych przez swoich pilnie strzegących ich facetów, kiedy te wiją się ekstatycznie pod sceną.

- Nie mogę z takich tańców na takim koncercie. Rury brakuje! Czego w ogóle szukają tu dziewczyny? – szczerzy się.

Przy naszym stoliku znajomi Michała przekazują sobie z rąk do rąk kartkę wydartą z zeszytu, głośno zaśmiewając się. Na kartce widnieje obraz „kobiety idealnej”. Twarz, biust, tyłek, narządy płciowe i nogi. I nic więcej.

- Nawet włosów jej nie dorysowaliście? Ma być łysa? – pytam.

- Na co jej włosy? Tu jest wszystko, czego MY potrzebujemy – chłopaki znów ryczą ze śmiechu.

- Wiesz, chyba musisz mieć jak przyciągnąć do łóżka ten swój ideał – odpowiadam.

Świr tylko w przebraniu?

Około 1.00 koncert dobiega końca. Część osób zostaje na afterparty. Dla muzyków i fanów to czas, żeby odpocząć i spokojnie pogadać w swoim gronie – o przyszłych planach muzycznych i koncertowych, o sprzęcie, o tym, co słysząc. Przede wszystkim jednak to okazja, by wspólnie się napić. Urznąć. Schlać. To się później najlepiej wspomina. Trzeba też rozmontować dekoracje. Do rąk nieopatrznie dostają do potrzymania czaszkę, która poprzednio nie zrobiła na mnie wrażenia.

- Niezła kopia – rzucam.

Parę osób patrzy na mnie dziwnie. Kontynuuję:

- Gdzie kupujecie takie rzeczy do dekoracji? Są jakieś sklepy z akcesoriami?

Muzyki, zinów czy koszulek typowych dla tej subkultury nie znajdzie się w zwykłych sklepach. Wszystko funkcjonuje „w podziemiu”. Czaszka natychmiast zostaje wyciągnięta mi z rąk. Krótkie milczenie wreszcie zostaje przerwane przez jednego z muzyków.

- To nie jest kopia, tylko oryginał. To zwykła ludzka czaszka.

Zszokowana wycieram ręce o ubranie. Ponoć jeden wyjątkowo ortodoksyjny fan rozkopywał groby w poszukiwaniu takich zdobyczy.



etom dziękujemy

- Kretyn! I zawsze, ale to zawsze, za każdym razem na bezczeszczeniu grobów łapała go policja! – śmieje się jeden z muzyków.

Nagrać pedalstwo

- W dupie mam zarabianie pieniędzy czy granie dla rzeszy idiotów, którzy wrócą do domu i do odtwarzacza wrzucą płytę Kultu. Gram, bo kocham tę muzykę. Fajnie, jeśli znajdą się tacy, co to docenią. Cała reszta mnie nie obchodzi – rzuca zaciekle Folkien, zaciągając się papierosem.

Ksywy to część tej tradycji. Czasami dlatego, że zajmowanie się tą muzyką to dość kontrowersyjne zajęcie.

Sala prób znajduje się na strychu. Sufit jest wysoko nad nami, w zamian za to pomieszczenie zagracone jest do granic możliwości. Na co dzień mieszka tu perkusista i traktuje to miejsce jako swój pokój. Czerwona żarówka wisząca na gołym kablu z sufitu nic nie rozświetla. Ściany wyklejone są plakatami, których na pewno nie znajdzie się w Empiku. Z reguły czarno-białe, roją się od coraz to demoniczniejszych kościotrupów, szatanów, potworów, kozłów i pentagramów. Nie brak też wyobrażeń czarnych mszy, odwróconych krzyży i zdeformowanych ciał. No i znowu – czaszki. Tym razem zwierzęce, znajdowane podczas spacerów lub pochodzące z pobliskiej rzeźni.

- Jak ci się podoba to? – chłopaki odtwarzają mi jeden ze swoich najnowszych muzycznych eksperymentów. Nierzadko sami nagrywają wszystkie ścieżki – gitarę, perkusję i bas – i sami je później montują. Zdarza się, że ilość wydanego przez wytwórnę materiału to zaledwie 100 sztuk. Każda kopia jest numerowana. Później prawdziwym maniakom pozostają poszukiwania ich jedynie na allegro lub zebranie o płytę u samych twórców.

Dudnienie. Nic kobiecego. Brutalna i ciężka mieszanka.

- Podoba mi się – oświadczam i milknę na widok ich niezadowolonych min.

- Widzisz, stary, znowu nagraliśmy jakieś pedalstwo, skoro podoba się kobietom – pół żartem, pół serio rzuca drugi z muzyków.

- Ostatnio słyszałem, jak kumple z innego zespołu wyrwali taką jedną po koncercie. Nawalona była jak samolot. Przelecieli ją wszyscy po kolei i na raz, porobili sobie zdjęcia. Sama chciała. Niezły numer! – wszyscy rechoczą.

- Kobiety... co one w ogóle wiedzą o tej muzyce?! Chyba tylko tyle, ile połkną ze spermą



black metalowego kolegi – kwituje pogardliwie jeden z nich.

Noworodki na tapetę

Poznań, czerwiec. Duchota wypycha się nam do gardeł. Samochód wypchany jest po sam dach.

- Wiesz doskonale, że nikt nie przywozi sobie dziewczynki ot tak? Licz się z tym, że będziesz traktowana jako groupie – pouczają mnie z tylnego siedzenia. Mam nadzieję, że nie mówią serio.

- Nikogo nie prowokuj, nie doprowadzaj do niewygodnych sytuacji, bo nie chcemy reagować – uprzedzają mnie dalej. Zaczynam czuć się niczym mały złoczyńca, bo nie jestem facetem. Ani nawet grupie. Reszta drogi upływa na opowiadaniu sobie anegdot i kawałów. Dowcipy za każdym razem są seksistowskie, rasistowskie lub makabryczne. Tak jak ten o niemowlętach. Bo kto wie, ile niemowląt potrzeba do wytapetowania nimi jednego pokoju? Cóż, to chyba jasne, że liczba uzależniona jest od tego, na jak cienkie plasterki się je pokroi...

Muzycy ulokowani zostają na zapleczu klubu. Tutaj wszyscy zrzucają plecaki, sprzęt i rekwizyty sceniczne. Nie mogę się powstrzymać na widok olbrzymiego skórzanego karwasza, w całości naszpikowanego dziesięciocentymetrowymi gwoździami. Przypieram i natychmiast zaplątuję się weń włosami.

Wychodzę między ludzi. Mam nadzieję pozostać niezauważona, jednak ta okazuje się płonna. Najpierw podchodzi do mnie ogromny, ubrany na czarno drab z wygoloną na łyso głową. Uśmiecha się całkiem sympatycznie. Mężczyzna wyciąga

mi jedynie piwo z dłoni, częstuje się potężnym łykiem, oddaje mi puszkę i... zostawia mnie samą. Godzinę później inny z nich wyciąga mi spomiędzy palców na pół wypalony papierosa i znika z nim w tłumie. Wszyscy, ale to dosłownie wszyscy ludzie, których obserwuję, wydają się wzajemnie znać. Tylko mnie prawie nikt tu nie zna. Podsumowuje to jeden z muzyków z Persecutor:

- Za każdym razem, kiedy przychodzę na black metalowy koncert, mogę powiedzieć jedno... Zawsze te same, znajome ryje dookoła!

Srrrogość!

- Boże, skąd ty ich wytrzasnąłeś?! To brzmi jak jakieś opowieści z innej planety! - denerwuje się Marta, redaktorka i współzałożycielka jednego z dużych serwisów o muzyce metalowej. Jak sama przyznaje – jest szanowana w tym środowisku. Marta – zupełnie zwyczajna na pierwszy rzut oka. Elegancka, w spódnicy, ozdobiona delikatną biżuterią. Roztacza dookoła siebie przyjemny, waniliowy zapach perfum. - Kenzo – wyjaśnia z uśmiechem. Opowiadam jej o swoich wrażeniach z koncertów i prób.

- Face palm! Nie mogę słuchać o takim zachowaniu. Oby przypadkiem ich srrrogość i męskość nie ucierpiała za bardzo – ironizuje.

Po co to robią? Czy ta muzyka ma prawo istnieć bez całej tej otoczki? Pewnego dnia z rozbijającą szczerością odpowiada mi Michał.

- Muzyka jest fajna, ale to już trochę tło. Tak naprawdę na pierwszym planie są dziewczyny – uśmiecha się.

Imiona bohaterów reportażu zostały zmienione.

Joanna Grabarczyk



ŁÓDZKA MIŁOŚĆ



Tomasz Jaśkiewicz

Miłość jest pięknym uczuciem. Bliskim ponoć każdemu Polakowi. Panująca na świecie powszechna opinia przypisuje naszym rodakom skłonność do bycia romantykami – takimi, co to w drzwiach przepuszczają i w dłoń damę cmokną.

Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.

Piękne słowa, nieprawdaż. „I jakie prawdziwe!” – chciałoby się wykrzyknąć, lecz na wspomnienie łódzkich kibiców piłkarskich, krzyk ten zamiera na ustach. Historia zna morderstwa z miłości. Kroniki policyjne pełne są doniesień o „zabójstwach kuchennych”, kiedy to żona męża albo mąż żonę pchnął w akcie furii nożem do jarzyn. Krwawo – ale jeszcze nie bardzo. Szczególnie krwawym afektem pałają bowiem kibice klubów piłkarskich. O nie, bynajmniej nie chodzi o wykrwawianie się dla ukochanego klubu. Raczej o wykr(w)aw(i)anie kibiców przeciwnej drużyny.

Łódź - miasto znajdujące się w środkowej części Polski. Dawne centrum włókiennicze kraju, dziś - skupisko opuszczonych fabryk i zniszczonych dróg. Jeszcze żywy skansen wielu innych pozostałości po PRL-u, złotym okresie tego miasta. Turyści zapytani o Łódź wskażą zapewne Piotrkowską, najdłuższą handlową ulicę Europy; Manufakturę – wielki kompleks handlowo-rozrywkowy, którym stała się dawna fabryka wzniesiona przez Izraela Poznańskiego; Atlas Arenę, która do niedawna była największą halą sportowo-widowską w kraju.

Żaden fan sportu nie zapomni wspomnieć dwóch zasłużonych dla kraju klubów piłkarskich, znajdujących się na przeciwległych krańcach miasta – ŁKS-ie i Widzewie. Łączy je miejsce, z którego pochodzą oraz wspinała historia, choć dziś oba przechodzą poważne problemy finansowe.

Mają ogromne ilości fanów w całym kraju i za granicą. Na dworcu w Mikołowie, w Kielcach czy w Zakopanem – ich ślad (zazwyczaj w postaci nabazgranej na murze nazwy ulubionego klubu) znaleźć można wszędzie. Ech, wandalizm – a poza nim wydawać by się mogło, że wszystko jest tak, jak należy. To tylko pozory, ponieważ kolejną rzeczą, która łączy te dwa zrzęsenia, to wzajemna nienawiść do siebie nawzajem. Nienawiść, która daje o sobie znać nawet w postaci... ofiar z ludzi.

Wzajemna agresja w stosunku do konkurencyjnego klubu trwa nieprzerwanie od dziewięćdziesięciu lat, czyli od daty powstania Widzewa w 1922 r. (ŁKS powstał w 1908 r.). Od tego czasu ulubioną rozrywką kibiców – przepraszam - pseudokibiców jest „dawanie sobie w mordę”. Za to, że kibicują innemu klubowi.

Podejście bardzo inteligentne, jeśli tylko był ku temu jakiś konkretny powód. Cała Łódź i okolice dzielą się na zwolenników Widzewa lub ŁKS-u. Dochodzi między nimi do sprzeczek, bójek, „obrzucania się błotem”. Pseudokibice noszą dumnie wytatuowane barwy swojego ukochanego klubu na piersiach, plecach, a nawet na czole. Szkoda tylko, że w swoich sercach nie czują prawdziwej miłości do piłki nożnej i swojego klubu.

Czują natomiast chęć przyłania „Żydom”, jak często jest nazywany kibic przeciwnego klubu. Najbardziej irytujące w całym konflikcie jest to, że ponad połowa zapalonych pseudokibiców nie jest w stanie wymienić chociażby jednego nazwiska piłkarza grającego w jego najdroższym klubie.

I jaki jest tego sens? Jeśli chcą się bić, niech się zapiszą na judo, kick – boxing czy inną sztukę walki, by wyzwolić negatywne emocje i skutecznie się ich pozbyć. Wspominanie tego, co dzieje się na derbach, jest po prostu bez sensu. Istna Sodoma i Gomora. Apelowanie do zaprzestania bójek mija się z celem i jest misją niemalże nie do wykonania.

O co chodzi właściwie w tym całym sporze?

- Jak to o co? O wyższość naszego klubu nad „Żydami”. Powstałiśmy jako pierwsi, mamy lepszą historię, a w dodatku miasto buduje „Żydzewowi” stadion, zamiast nam. Jak tu może nie być sporu? – mówi „Siwy”, kibic ŁKS-u.

- To my graliśmy w lidze mistrzów, jesteśmy bardziej zasłużeni dla kraju, mamy lepsze osiągnięcia i jest nas więcej. „Żydki” z ŁKS-u nie powinny w ogóle istnieć, tylko psują renomę temu miastu i przynoszą wstyd Polsce. Zresztą, spójrz na to, gdzie mamy kibiców. Praktycznie w całej Polsce, a oni? Gdzie oni są? Wielcy fani ŁKS-u – skomentował „Gapa”, lider grupy fanklubu Widzewa w Częstochowie.

- Nie, nie ma szans na zawarcie sojuszu. Ten konflikt zaszedł już za daleko, zginęło kilku naszych, a tego tak nie zostawimy. To jest jak wojna, która będzie trwać wiecznie. Chyba, że rozwiążą Widzew, ale to jest mało prawdopodobne – kontynuował „Papa”, lider fanklubu ŁKS-u w Częstochowie.

Tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia kibiców. Co na to specjalista? Zapytałem socjologa, choć zastanawiałem się nad zasięgnięciem opinii psychiatry.

- Problem znajduje się głębiej. W przypadku tych dwóch klubów dochodzi do sporów etnicznych, religijnych, można także wspomnieć o kompleksie mniejszości i wzajemnym udowadnianiu sobie „kto rządzi w mieście”. Warto zwrócić uwagę również na to, iż żadna ze stron nie potrafi przedstawić konkretnego powodu dla którego się nienawidzą, a bez przedstawienia konkretnego powodu, który jest tutaj jak podpałka, nie można zgasić ognia, który coraz bardziej narasta - mówił o całym problemie socjolog Piotr Karwan.

Tyle komentarza. Nie ma ognia, został dym. Podsumowując całą sprawę: pięści w ruch, drodzy pseudokibice. Wyjaśnijcie sobie swoje sprawy „po swojemu”. Tylko zastanówcie się najpierw, po co to robicie, czemu to służy. Tak na następny raz – na użytek pytającego dziennikarza.

Ach, jeszcze jedna dobra rada na przyszłość - poznajcie swój klub. Chociaż kilka nazwisk graczy z waszej ukochanej drużyny. Oszczędźcie wstydu sobie i piłkarzom, kiedy ktoś zapyta...



Tomasz Jaśkiewicz

Wspomnienie

Joanna Kowalczyk

Łódź to nie tylko zabytkowe kamienice czy sklepy, ale to także ludzie. To właśnie oni tworzą to miasto poprzez swoje przeżycia i emocje. Niektóre momenty bywają zabawne, inne zaś wzruszające i smutne. Jacy są łodzianie i jakie mają wspomnienia związane z różnymi miejscami?

Miłość w Parku Na Zdrowiu

Ilekoć przejeżdżam nieopodal tego parku, przypomina mi się moja młodość, ale także i moja miłość. To właśnie tutaj się poznaliśmy i jesteśmy ze sobą do dziś. Wszystko co prawda zaczęło się jeszcze w przedszkolu, kiedy to Jerzyk ciągnął mnie za warkocze, ale w tamtym okresie bardzo go nie lubiłam. Z tego powodu ani się nie bawiliśmy razem, ani później w czasach szkolnych się nie przyjaźniliśmy. Pamiętam jednak, jak przychodził na wszystkie moje zbiórki harcerskie, które miałam w parku na Stokach, ale nigdy do mnie nie podszedł. Pewnego dnia mój kolega, którego wszyscy nazywali Siwy, powiedział, żebym przyjechała do parku na Zdrowiu, bo będzie tam kilku naszych znajomych. Pospacerujemy sobie i pójdziemy do ZOO. Zapytałam, kto będzie? Zaczął mi wszystkich wy-

mieniać, w tym moją koleżankę Ewę, więc pomyślałam, że pójdę. Gdy dojechałam do parku nikogo oprócz Siwego i Jerzyka nie było. Siwy oczywiście zaczął się wykręcać, że zaraz reszta dojedzie. Ponoć uprzedzili go, że się spóźnią. Powiedział, że idzie się za nimi rozejrzeć. Poszedł. Wtedy Jerzyk zaproponował, żebyśmy się przeszedli po parku. Tak też zrobiliśmy. Okazał się bardzo inteligentnym i miłym chłopakiem, lecz również nieśmiałym. Zrozumiałam, że wszystko zostało zaplanowane przez Jerzyka i Siwego, i jak się też później okazało - także przez Ewę. W tym czasie co prawda miałam chłopaka - wszyscy go nazywali Martofel. Jakos od tego naszego pamiętnego spaceru postanowiłam zakończyć z nim znajomość, a z Jerzykiem postanowiliśmy się znów spotkać w parku na Zdrowiu. Nie pamiętam, czy wtedy, czy po kolejnym naszym spotkaniu Martofel dowiedział się, że jestem z Jerzykiem. Gdy już wracaliśmy do domu, Martofel zaczął się na nas razem z kolegami tuż przy Brzezińskiej. Pamiętam, że ścigali nas aż do Smutnej, gdzie w krzakach udało nam się schować. Długo nie dawali nam spokoju. Kiedyś Martofel z tej wściekłości na mnie rzucił kamieniem w moje okno i je wybił. Wtedy miarka się przebrała. Mój tata o wszystkim się dowiedział i zrobił z nim porządek. Martofel darzył mojego tatę ogromnym szacunkiem, bo z jego ojcem znali się bardzo dobrze. Oprócz tego mój tata należał do straży pożarnej, gdzie Martofel zgłosił się na ochotnika. Cała historia ostatecznie zakończyła się dobrze i do dziś jesteśmy z Jerzykiem razem.

(Jola 53 i Jerzyk 55)

Piotrkowska nocą tętni życiem

Jeśli miałbym powiedzieć, co kojarzy mi się z Łodzią, to jest to na pewno ulica Piotrkowska. Mam wiele wspomnień związanych z tą ulicą. Jedno, które teraz przychodzi mi do głowy, to cała noc spędzona ze znajomymi na tej właśnie ulicy. Miałem wówczas jakiegoś wyjątkowego pecha, ponieważ aż trzy różne osoby spotkane w różnych miejscach chciały się ze mną bić, zupełnie bez powodu, lecz nie o tym będę opowiadać.

Piotrkowska tętni życiem nocą. Można wtedy poznać wiele interesujących, a zarazem dziwnych osób. W ciągu dnia wszyscy

tylko się mijają, ale nocą jakoś zwalniają, zagadują. Naprawdę można poznać wtedy ciekawych ludzi. Tej nocy postanowiliśmy kupić piwo i zasiać w jednym z ogródków. Była już wtedy 2. czy 3. w nocy. Nagle wyłonił się strażnik, który powiedział, że nie wolno nam siedzieć w tym



ogródku i że on go pilnuje. Był tak pijany, że gdy odpowiedzieliśmy: „Ale nas tu nie ma!”, odrzekł tylko: „A to jak was nie ma, to dobrze!” - po czym odszedł chwiejnym krokiem. Chwilę później pojawiło się kilku mężczyzn. Widać było, że wracają z jakiejś imprezy. Oczywiście jeden z nich podszedł do mnie i zapytał, czy chcę się bić. Jak już wspomniałem, wszyscy chcieli się tej nocy ze mną bić. Na szczęście jego kolega uspokoił go i przeprosił mnie za to złe zachowanie. Powiedział również, że jego znajomy normalnie tak się nie zachowuje, ale jest dzisiaj dość zły, bo nie chcą zrealizować jego pomysłu. Cała grupka zasiadła przy stoliku obok naszego. Wtedy podszedł mężczyzna, który chciał się wcześniej ze mną posprzeczować. Przedstawił się i zaczął opowiadać o sobie. Na koniec rozdał nam swoje wizytówki - okazało się, że był doradcą finansowym. Nagle zapytał mnie czy mu pomogę, bo ma świetny pomysł: chciał wynieść 2-3 krzeselka z tego ogródka. Dodał również, że są mu potrzebne do domu, i że tym razem zna idealną drogę, dzięki której na pewno nas nie złapią.



ia z Łodzi

Później okazało się, że on po każdej swojej nocnej wizycie na Piotrkowskiej wynosi z niej krzeselka, ale niestety bez powodzenia. Tej nocy poznałem również małżeństwo, które ostatecznie tak się pokłóciło, że zaczęło się rozbierać, aby mieć czym w siebie rzucać. Jak już mówiłem -

kinia kojarzy mi się z dzieciństwem. Lubię tu spędzać swój wolny czas.

(Michał 26)

Plac Kościelny

- Tę historię opowiadała mi moja babcia - mówi pani Weronika, spoglądając na zdjęcia świątyni na Placu Kościelnym. - Mój prapradziadek był bogatym szlachcicem, bardzo pobożnym. Gdy tylko dowiedział się, że zbierają na budowę kościoła, dołożył sporą część. Został tym samym honorowym parafianinem. Mieszkał w dworcu w Łagiewnikach, ale co niedzielę przyjeżdżał do tego kościoła. Pradziadek, jak opowiadała babcia, zawsze rygorystycznie przestrzegał postu i mimo, iż miał służbę, sam wołał wszystkiego dopilnować tuż przed zbliżającymi się świętami Wielkanocnymi.

W wielkiej sali wystawiano potrawy, które miały być w sobotę poświęcone przez proboszcza. W całym tym zamieszaniu prapradziadek poszedł do kuchni by sprawdzić, czy kucharki przygotowały wszelkie potrawy przed świętem. Według tradycji, nie wolno było gotować w Wielką Sobotę, dlatego dania musiały być gotowe już na piątek. Następnego dnia trzeba było tylko je podgrzać. Prapradziadek zapomniał się i spróbował jakieś potrawy, w której była kiełbasa. Jak mówiła babcia - tylko oblażał palca. Uświadomiwszy sobie, co zrobił, wystraszony kazał przygotować powóz i pojechał pospiesznie do kościoła, by się wyspowiadać. Gdy już wyznał księdzu wszystkie swoje grzechy, on kazał mu w ramach pokuty chodzić wokół kościoła na kolana. Tak też prapradziadek zrobił, choć dla szlachcica było to upokarzające. Gdy skończył, wrócił do spowiednika, a ten zamiast dać mu rozgrzeszenie, powiedział, że musi jeszcze leżeć krzyżem na środku kościoła. Po kolejnej pokucie znów udał się do księdza by zapytać, czy grzech jest mu odpuszczony? Wielebny odpowiedział, że

tylko w połowie, a jeśli ma być całkowicie odpuszczony, to musi jeszcze dać spory datek na rzecz kościoła. Wtedy prapradziadek się zdenerwował, nazwał księdza wyłudzcą i powiedział, że prawie zbudował ten kościół - po czym wyszedł. Wsiadł do karocy i kazał się zawieźć do pierwszego napotkanego kościoła. Dojechali do mariawitów. Od tamtej pory został mariawitą.

Kilkanaście lat później jego syn, a mój dziadek poznał babcię. Była skromną dziewczyną ze wsi. Przyjechała do miasta, żeby trochę zarobić i zatrudniła się jako służąca - jak się później okazało u kolegi dziadka. Tam też się poznali. Dziadek bardzo się zakochał. Pewnego dnia postanowił powiedzieć rodzicom, że chce się ożenić. Rodzice nie zgodzili się na ślub, gdy tylko powiedział im, że jego wybranka jest służącą, w dodatku katoliczką. Odradzali mu mówiąc, że wszyscy katolicy to oszuści i lichwiarze. Dziadek był tak bardzo zakochany, że chciał poślubić babcię bez względu na to, czy rodzice dadzą mu błogosławieństwo czy też nie. Z kolei babcia była bardzo religijna i powiedziała, że wyjdzie za niego, jeśli on przejdzie na jej wyznanie. Z tej miłości tak właśnie zrobił. W dzień ich ślubu matka dziadka, gdy ten miał już jechać do kościoła, oblała go pomymjami. Na szczęście udało mu się pożyczyc od kolegi garnitur. Mimo, iż się spóźnił, to jednak się pobrali.

(Weronika 56)

Joanna Kowalczyk



Piotrkowska nocą jest niesamowita, ma swój klimat. Za to ją uwielbiam.

(Łukasz 23)

Dzieciństwo na Retkini

Z czym mi się kojarzy Łódź? Z manufakturami, a dokładnie z tymi ceglany- mi, pięknymi budynkami. Mam nadzieję, że więcej ich odnowią. Poza tym kojarzy mi się z domem. Pomimo iż ludzie narzekają, że to niby brzydkie miasto, mnie się podoba. Na razie się stąd nie wyprowadzę. Uważam, że ma swój wyjątkowy charakter, jednak należy lepiej w nie zainwestować, gdyż według mnie potrafi zaskoczyć pięknymi zakątkami. Oprócz tego wszystkie miłe wspomnienia jakie mam, wiążą się z Retkinią. Czuję, że to jest moje miejsce na ziemi. Tutaj mam swoich przyjaciół i rodzinę, tu przeżywałem swoje pierwsze miłości, tu zaliczałem upadki na sankach - z tej małej górki obok szkoły nr 47. Dużo tego jest. Ret-



Oryginalna i nie



Karolina Radwańska

Miasto przemysłowe w środkowej Polsce, które swoje lata świetności już dawno ma za sobą. Pozostały fabryki, manufaktury i kamienice. Podobno w mieście jest szaro, nudno i nie ma atrakcji, ani żadnego ciekawego miejsca dla młodego człowieka. Podobno nie można się tutaj rozwinąć. Czyżby?

Miejsce, gdzie można przyjść, porozmawiać i kupić dobrą książkę

W bramie przy ulicy Piotrkowskiej 101, na końcu podwórka, w miejscu niepozornym i być może nierzucającym się w oczy, znajduje się zawalony książkami, do granic możliwości, antykwariat „Myszy i Ludzie”. Antykwariat serdeczny i przychylny dla odwiedzających. Zawsze otwarte drzwi na oścież zapraszają każdego, kto chce się w książkach zatracić. Od progu słychać lecącą w tle muzykę prosto z płyty winylowej, a zapach książek natychmiast odurza i pozostaje z nami nawet długo po wyjściu.

Od czego się zaczęło? Od miłości do książek, do ich zbierania i układania.

Zawsze uważałem, że należy robić to, co się lubi. A ja uwielbiam książki i bardzo lubię je układać – mówi Jonasz Brzozowski, właściciel antykwariatu. – Teraz niestety czytam mniej, ale wszyscy czytają mniej, jak zaczynają pracę. Od tego się nie ucieknie. Przez 10 lat pracowałem w różnych księgarniach. Nie będę ukrywał, że moi rodzice są księgarzami. Etos pracy z książką był od zawsze. Ale chciałem otworzyć coś swojego. Kierowałem „Małą Literą” parę lat temu i trudno było mi się później przestawić z kierownika na pracownika, więc stwierdziłem, że antykwariat to dobry pomysł. Zwłaszcza, że w tej chwili jest po prostu mnóstwo książek na rynku. Można je bardzo tanio kupić, co się przekłada na to, że tanio można je sprzedać. Ale jest dużo większy wybór. Jak na początku pracowałem sezonowo w antykwariacie, to nie mieliśmy takich książek. Stąd jest to dobry pomysł na biznes i póki co, praktyka potwierdza tę teorię. Tylko trzeba się na tym znać, wiedzieć, co kupić i które książki są faktycznie coś warte. Dużo się mówi, że książki są za drogie i dlatego czytelnictwo spada, ale muszę przyznać, że jest to tzw. ‘bujda na resorach’. Drogie to pojęcie względne. Księgarnie to tak naprawdę jakieś 10% miejsc, skąd pozyskujemy książki. Z reguły pożyczamy je od znajomych, wypożyczamy z bibliotek i szukamy właśnie w antykwariatach i na kiermaszach tanich książek. Nawet Internet jest bogatym źródłem, choć sam nie lubię w ten sposób czytać, to jest to jedna z możliwości – tanich i łatwych. Kwestia priorytetów. Nowe książki kosztują około 30-40 złotych. W przypadku młodzieży można poświęcić jedno wyjście na imprezę i po prostu kupić książkę, która nas interesuje. Priorytety w społeczeństwie się zmieniły, więc mówienie, że książka jest za droga jest łatwym wytłumaczeniem. Ludzie po prostu nie mają ochoty książek kupować. A u mnie? U mnie można się nawet targować.

Okazją do otwarcia antykwariatu była możliwość pozyskania funduszy z Unii Europejskiej.

– Zrobiła się jakaś taka ofensywa medialna. Teoretycznie nic się w Łodzi nie działo, a nagle okazało się, że jednak wprost przeciwnie. Obok mnie młodzi ludzie otworzyli Bistrot „Zaraz Wracam”, ja otworzyłem antykwariat, co wywołało nie lada zainteresowanie. Co jest trochę smutne, bo widocznie jest marnie w Łodzi skoro nawet otwarcie kolejnego antykwariatu wywołuje poruszenie – mówi Jonasz.

Remont trwał miesiąc. Dotacja uniwersytecka była bardzo mała, stąd antykwariat powstawał wspólnymi siłami właściciela

i przyjaciół. Poza elektryką i hydrauliką, wszystko robili sami.

– Śmiałyśmy się, że jest to jedyna budowa, na której są sami humaniści, a w tle leci Andrzej Rosiewicz i koncerty fortepianowe Brahms’a. Czyli sami magistry, słuchający klasyki. Ale bardzo mi to odpowiadało, bo znam dokładnie to pomieszczenie, każdy kąt i każdą klepkę; w końcu przykładałem do tego ręce. Projekt robili również moi przyjaciele, architekci z pracowni Hokum – Agata Maciejewska i Jan Katyszewski. To oni wpadli na pomysł kubików, które zresztą też robiliśmy sami. Muszę przyznać, że to bardzo praktyczna rzecz. I tak 13 stycznia 2011 roku oficjalnie antykwariat zaczął działać. A nazwa wzięła się stąd, że uwielbiam John’a Steinbeck’a. Moją ulubioną książką jest „Tortilla Flat”, ale niestety kojarzy się z jedzeniem. Więc padło na drugą książkę tego autora, czyli właśnie „Myszy i ludzie”. I tak zostało.

– Często spotykam się z tym, że przychodzi ktoś pierwszy raz i na odchodnym rzuca „żeby się panu powiodło, bo teraz ludzie nie czytają” i przedstawia nieciekawą obraz, po którym jestem trochę przerażony. I właściwie od stycznia słyszę, że jest ‘strasznie’, ale wcale nie jest tak źle. Faktycznie, miejsce jest trochę mało rentowne, ale prawda jest taka, że wszystkie antykwariaty padłyby, gdyby nie prowadziły dodatkowej sprzedaży w Internecie, głównie na stronach Allegro. Ja traktuję sprzedaż internetową, jako dodatek, bo inaczej byłoby ciężko, ale przede wszystkim zależało mi na miejscu, do którego można przyjść, poszperać, znaleźć coś dla siebie i porozmawiać. Teraz i tak jest trochę inaczej. Ceny w antykwariatach są ujednolicone, kiedyś szukało się danej pozycji książkowej w różnych antykwariatach i kupowało, gdzie najtaniej, za śmiesznie cenę.

W czerwcu Jonasz przeprowadził akcję ‘Pełna Siata’, która polegała na tym, że przy wejściu płaciło się wstęp w wysokości 20 złotych i wychodziło z pełną siatką książek, w zależności od tego, co czytelnika zainteresowało. I od pojemności siatki.

– Pomysł wziął się stąd, że całe zaplecze, w którym wcześniej była czytelnia, było zawalone książkami i zastanawiałem się, co z tym fantem zrobić. Jak otwierałem antykwariat, to bałem się, że będę miał problem ze zdobyciem asortymentu. Ze swojej biblioteki uzbierałem ze 2000 książek na tzw. początek. Chciałem poświęcić ją całą, ale szybko okazało się, że nie muszę tego

powtarzalna Łódź

robić. Po paru miesiącach nie miałem już miejsca, żeby wszystko pomieścić. Stąd ta akcja, która trwała dwa dni. Pochowałem cenniejsze książki, ale z tych, co zostało, można było wziąć każdą. Słyszałem o podobnych akcjach we Wrocławiu i w Warszawie, ale były one przeprowadzane przez biblioteki. Mogę się pochwalić, że zainspirowałem antykwariat „Pasja czytania” na ul. Limanowskiego do podobnej akcji. Trochę bałem się, że ludzie będą rozczarowani, że będzie mały odzew, ale gdy w piątek zaczęły ustawiać się kolejki, wiedziałem, że pomysł był trafiony. Wszyscy byli zadowoleni i nikt nie wyszedł z pustymi rękami. I niewykłuczone, że niedługo zrobimy następną tego typu akcję. Powoli znowu zaczyna mi brakować miejsca. Innym pomysłem jest ‘Okładka na początek tygodnia’. Moja siostra, która prowadzi „Małą Literę” w Manufakturze, na profilu mojego antykwariatu na Facebook’u raz w tygodniu zamieszcza okładkę książki, którą gdzieś tutaj wynajdzie. Przez cały PRL grafika książek stała na bardzo wysokim poziomie. W latach 50. te książki były trochę gorzej wydawane. Ładnym porównaniem mogą być książki Tomasza Manna. Ładnym jak ładnym, bardziej smutnym. Był wydawany w takiej formie: płótno obwoluta, wszystko klejone, a po dwóch ‘spotkaniach’ z książką, wszystko się rozpada.

A więc książki. Te stare, ale i te nowe, niekoniecznie z tego roku, ale z poprzednich lat już jak najbardziej. Ponadto płyty winylowe. Co prawda nie jest to duży zbiór, ale za to całkiem przyjemny. I choć Jonasz komentuje, że są one drogie, to jednak po usłyszeniu ceny – 10-15 zł – słowo ‘drogie’, wydaje się być nie na miejscu.

– Generalnie niechętnie je sprzedaję. Mam ‘winyle’, ale wolałbym się ich nie pozbywać. Za bardzo lubię je słuchać. Ogólnie mam polskie rzeczy, Krzaka na przykład (polska formacja rockowa z pierwszej połowy lat 70. - przyp. red.). Zasadniczo nie handluję płytami, ale jeżeli ktoś długo czegoś szuka i akurat u mnie to znajdzie, to oczywiście sprzedam. Płyty, do których jestem bardziej przywiązany trzymam na zapleczu.

Chętni? – Są. Co i rusz przychodzą jacyś nowi ludzie. Ja trochę się obijam z promocją tego miejsca, bo mam dużo pracy. Pasuje mi ilość zainteresowanych, jaka u mnie jest, czyli około 15 osób dziennie, ale mam bardzo wysoką skuteczność sprzedaży – jak już ktoś przychodzi, to coś kupuje.

Między stosami książek swobodnie buszuje, od niedawna stały mieszkaniowiec antykwariatu – bury kot Bruno. Co prawda przyciąga mniejszą uwagę niż ilość pozycji książkowych do wyboru, ale cieszy i każdego traktuje, jak znajomego, domagając się głaskania lub zachęcając do zabawy.

– Jakiś czas temu dostałem kota w prezencie. Właściwie to cały antykwariat jest jakby wypełniony moimi przyjaciółmi. Nie tylko pomagali mi go otworzyć, ale też dużo rzeczy od nich dostałem. Na przykład adapter. Wszystko rodzi się stąd, że ludzie chcą pomóc i jakoś tam się przejmują.

– Miałem taki plan, żeby miło sobie spędzać życie. Na swoim. I robić to, co lubię; co cały czas podkreślam. Chciałem stworzyć taki antykwariat, gdzie będzie można przyjść i zwyczajnie pogadać; choć może nie do końca rozmowa ze mną jest atrakcją (śmiech). Nie chcę narzekać na konkurencję, bo akurat antykwariaty nie są dla siebie konkurencją, a ja mam inne książki niż reszta antykwariatów, ale w dwóch głównych, które są również na ulicy Piotrkowskiej, jest prosty schemat – wchodzisz, wybierasz książki, płacisz i wychodzisz. A u mnie jest inaczej. Dużo znajomych pozyskałem w ten sposób, że są u mnie częstymi gośćmi, a i sąsiedzi są przemili. Kiedyś miałem fajną sytuację. Szedłem do samochodu i nagle jakaś dziewczyna odłączyła się od grupy swoich znajomych, podeszła do mnie i powiedziała „Och, to Pan, a ja tak lubię Pana antykwariat”. Bardzo to było sympatyczne. Wspaniałe jest, kiedy człowiek coś robi i bardzo to się innym podoba.

Tajemnica lakierów do ‘gazetowców’

Wrzesień 2011. Klubokawiarnia „Owoce i Warzywa” przy ulicy Traugutta. Niedawno stworzone stojaki na rowery, mają jednego, dość oryginalnego użytkownika – ‘gazetowca’, z białą-czarnymi oponami i drewnianym koszykiem na przedzie. A na nim napis „C’est la vie BIKES”. Właściciela spotykam w środku. Młody, uśmiechnięty, trochę nieśmiały – do czasu, aż pytam o rower. Nieśmiałość znika w ułamku sekundy, a pojawia się pasja tworzenia, milion pomysłów i ten błysk w oczach, kiedy ktoś mówi o czymś, czym się interesuje. Co najlepsze, błysk znika dopiero, kiedy się żegnamy.

Artur Madaliński plany miał sprecyzowane. Liceum, matura i Uniwersytet Medyczny,

kierunek stomatologia. Jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem. **Zabrakło kilku punktów** tu i ówdzie, i skończyło się tym, że ponowna próba odbędzie się w przyszłym roku. Tylko jak twórczo wykorzystać czas wolny, którego teraz ma się w nadmiarze? Przecież nie samą nauką młody człowiek żyje.

Artur rozpoczął od eksperymentów na własnym rowerze. Pomysł wykorzystania gazet już od dawna ‘chodził’ mu po głowie. Podczas wakacji podróżował po Europie. Szukał inspiracji i podobnych modeli. Jednak po ‘gazetowcu’ ani śladu. Czas po powrocie do domu, został więc wykorzystany na wszelkie próby, by znaleźć sposób na efektywne połączenie gazety i ramy roweru.

– To była metoda prób i błędów. Używałem wielu lakierów, niektórych z lepszym, innych z gorszym efektem, i wciąż brakowało mi tego idealnego. Dlatego zrobienie mojego roweru zajęło, aż 2 miesiące – próbowałem wszystkiego. Niektóre lakiery powodowały sztywnienie gazet, inne je rozmiękczały a jeszcze inne w ogóle nie chciały ich kleić i wszystko odpadało. Aż w końcu znalazłem ten idealny. Wszystko zaczyna się od bazy, czyli najpierw ścieram stary lakier i pokrywam ramę białym podkładem. Dlaczego białym? Jest to uniwersalny kolor, który w żaden sposób nie przebija przez gazetę. Jeśli kolor jest



ciemny, to sprawia, że gazeta staje się mniej widoczna i nieczytelna. Następnie, skrawki gazet umieszczam na ramie i lakieruję, w takiej ilości i taki sposób, aby były one zarówno odporne na warunki atmosferyczne, jak i żeby były gładkie. Krótko mówiąc, żeby nie można było wyczuć łączeń gazet i ich wypukłości. Wygląda to tak, że jest 8 warstw pierwszego lakieru oraz dwie uniwersalnego akrylowego – mówi Artur.

Pytałam wielokrotnie o ten pierwszy lakier, próbowałam nawet podstępów, ale zawsze czujny, odpowiadał tak samo: „Tajemnica”. I płynnie przechodził dalej, opowiadając o kolejnych etapach swojej inicjatywy.

- Przez 2 miesiące próbowałem znaleźć sposób i konkretną wizję na te rowery. Co chwilę rodziły się nowe pomysły. Oprócz gazet, które nie wszystkim muszą się podobać, postanowiłem, że mogę pokrywać ramy rowerowe jakimś kolorem, oczywiście wedle uznania. Maluje również wybrane elementy roweru. Ach, i później pojawił się pomysł skrzynki.

No właśnie, skrzynki. Znane są koszyki i wszelkie inne sposoby przewożenia ciężarów rowerem. Ale wszystkie są uniwersalne, zrobione z plastiku. Te są drewniane, dostępne w dwóch formach. Polakierowane, a więc również odporne, i choć z biegiem lat może dojść do lekkich przebarwień, to Artur zapewnia, że będzie to minimalna i prawie zupełnie niewidoczna zmiana.

- Drewno, jak każdy surowiec może ulec uszkodzeniom i z czasem zwyczajnie się ‘zużyć’. Ze wszelkimi usterkami zapraszam do mnie, a to ‘zużycie’ polega na drobnych zmianach w kolorze. Ale jak to wygląda! Wróciła moda na stare rowery, na holenderki, na rowery różnokolorowe, oryginalne, efektowne. A do tego wszystkiego, jak wspaniale wygląda drewniana, a nie plastikowa, skrzynka. To nadaje zupełnie inny klimat temu miastu. I może stać się pewną wizytówką Łodzi. Nigdzie indziej nie znalazłem ‘gazetowca’ z drewnianą skrzynką.

Pomysł na drobną przedsiębiorczość przyszedł naturalnie. Już wcześniej zainteresowałem się starymi rowerami, które czyściłem, naprawiałem, wprowadzałem drobne zmiany i sprzedawałem. Wszystkiego nauczył się sam: czytając, próbując, podpatrując u innych. Później ukończył swój rower. Efekt: nad wyraz przyjemny. A więc miał już pomysł, doświadczenie i czas. Brakowało tylko nazwy. Burza mózgów przeprowadzona ze znajomymi nie przyniosła większych efektów.

- Wciąż brakowało odpowiedniej nazwy. Aż któregoś dnia, w rozmowie ze znajomym, skomentowałem pewien wątek tymi słowami: „C'est la vie”, czyli „To jest życie”. I tak już zostało. Żadnego głębszego przekazu. Po prostu

wydało mi się, że to zdanie pasuje w wielu sytuacjach. Pasuje także na nazwę.

Promocja inicjatywy? Portal społecznościowy – Facebook – oraz ulotki w różnych ciekawych miejscach w Łodzi. Artur zaczął w „Owocach i Warzywach”. I właśnie tam ja go spotkałam. A na jego pracę ‘natknąć’ może się każdy, kto odwiedzi klubokawiarnię, bo Ania i Michał, właściciele „Owoców (...)”, zlecili mu renowację roweru, który miał przy okazji promować kawiarnię.

- Był to niekonwencjonalny projekt, pracochłonny i dość trudny. Rama miała być obudowana i podświetlona; obudowa w kształcie trójkąta, robiona była z pleksi, na zamówienie. Na szczęście to nie ja ją robiłem, ale czekałem, aż zamówienie będzie gotowe. Na obudowie jest napis „owoce warzywa” a z tyłu skrzynka. Rower można wypożyczyć w każdej chwili za darmo. A przy okazji, zrobić kawiarni promocję. Mnie również.

A jak to wszystko wygląda od strony klienta? Dosyć prosto. We wszystkich wyborach pomaga nam ulotka „C'est la vie BIKES”, która opiera się na 5 krokach. Krok 1 – rower.

- Można kupić rower samemu i mi go dostarczyć albo kupić go ze mną. I przy tej drugiej opcji, jest pełno kolejnych, ponieważ możemy kupić rower, nowy czy stary, lub kupować go na części – zacząć od ramy, którą można kupić za grosze, i sukcesywnie dokupywać resztę potrzebnych części. Polecam giełdę samochodową, można tam znaleźć naprawdę mnóstwo rzeczy.

Jak mamy już rower, w całości lub w częściach, przechodzimy do kroku 2



– wybieramy wzór. Ulotka proponuje nam 4 podstawowe: gazety, okładki płyt, litery oraz znaki graficzne. Są to wzory zaprojektowane przez Artura. Ale każdy może przyjść z własnym lub z pomysłem na własny wzór.

- Ja jestem całkowicie otwarty, mogę zrealizować każdy pomysł, tak długo, jak będzie on funkcjonalny i wykonalny. Można również zrezygnować z wzoru i ograniczyć się tylko do koloru.

Krok 3 to cała gama kolorów do wyboru, jak i 6 elementów do ‘pokolorowania’: obręcze kół, kierownica, szprychy, siodełko, zębatki oraz pedały. Od wyboru do koloru.

Krok 4, mój faworyt, to opony: czarne, białe, kremowe, czarno-białe.

- Oczywiście, kolory są różne, ale ja proponuję te podstawowe, które są powszechnie dostępne. Najdroższe są białe, najtańsze czarne, bo pospolite.

Krok 5, ostatni i nad wyraz oryginalny – koszyk, drewniany lub wiklinowy. I rower gotowy. Tylko, że na ulotce. Jeszcze potrzebny jest czas na realizację zamówienia.

- Trwa to około tygodnia, choć to wszystko zależy od projektu. Trzeba pamiętać, że jestem uzależniony od innych, bo nie wszystkie elementy robię sam, np. nie tnę desek na skrzynki, czy nie robię obudowy z pleksi na ramę. Trzeba także wziąć pod uwagę fakt, że lakiery schną około 8 godzin, a warstw jest 10. Mnie daje to dodatkową możliwość, bo mam wtedy czas, żeby robić drugie zlecenie, ale to wszystko jednak trwa. Przygotowanie wzoru też nie jest takie proste. Najpierw trzeba się określić: jakie literki, jakie okładki płyt, jaki kolor, jaka czcionka. Muszę to przygotować i dopiero później zajmuję się przyklejaniem tego do ramy. A z gazetami też bywa różnie. Szukałem w 8 antykwiariatach, zanim znalazłem gazetę do swojego roweru. Zależało mi, żeby była ona stara, bo papier jest wtedy pożyłkły ze starości. Teraz gazety są stare, nie mają tego klimatu, co te stare. Może po zamoczeniu w herbacie byłby podobny efekt. Jeszcze nie próbowałem.

Na moje pytanie, czy na pewno realizacja tak skomplikowanego i czasochłonnego projektu, trwa tydzień, Artur z uśmiechem odpowiada: „Mogę szybciej”. A więc „inicjatywa zajmująca się artystycznym zdobieniem rowerów”. Co poza tym?

- Stomatologia. Moja mama jest stomatologiem i jakoś mnie tym zaraziła, ale nie było z jej strony żadnego nacisku. Akceptuję moje wybory. W tym roku się nie udało, ale w przyszłym znowu będę próbować. I moja pasja

– rowery. Myślę, że nawet, jako student medycyny, czy późniejszy stomatolog, będę zajmował się rowerami, dla siebie lub dla innych. Uważam, że powinno się w życiu robić to, co się lubi. I tak właśnie zamierzam. C'est la vie!

Bo my jesteśmy takimi szperaczami

Wróćmy na ulicę Piotrkowską. Niedaleko od Zielonej, w bramie pod numerem 61, może rzucić nam się w oczy różowy napis na białym tle „Fashion Freak Offline”. Lecz, żeby dowiedzieć się, co kryje ten biały, niepozorny budynek, musimy na chwilę zrezygnować z głównego nurtu Piotrkowskiej. Przywitają nas czarne drzwi, z dość charakterystyczną klamką, czarno-biały wystrój, wesoła Lola i to niesamowicie wnętrze, które spowoduje, że bez względu na pogodę za oknem, najchętniej zostalibyśmy w środku na dłuższy czas.

Ale zacznijmy od przysłowiowego początku. Anna Pankiewicz skończyła Politechnikę Łódzką. Jak sama mówi, była to 5-letni pomyłka.

- Nie wiedziałam, co chcę w życiu robić, nie miałam sprecyzowanych planów. Moi rodzice wykładali na Politechnice i to od nich dowiedziałam się, że niektóre wykłady są prowadzone w języku angielskim, dzięki czemu, jeśli ktoś chce, to po 3. roku może wyjechać za granicę w ramach wymiany studenckiej programu Sokrates. To mnie przyciągnęło, choć kierunek i wybór uczelni to pomyłka. Nawet dobrze nie pamiętam swojego kierunku. To było coś z zarządzaniem w biznesie i technologii. Już na 1. roku zdałam sobie sprawę, że to nie dla mnie. Ale jestem osobą, która, jak już coś zacznie, to doprowadza do końca, więc nie przerwałam studiów. Choć do dzisiaj nie wiem, jak przetrwałam te trzy lata, do wyjazdu. Nic nie wiem o fizyce czy rysunkach technicznych, nie mam 'za grosz' wyobraźni przestrzennej. Wszystkiego uczyłam się na pamięć. Na egzaminach, kiedy moi znajomi byli w połowie rysunku, ja próbowałam przypomnieć sobie, na której stronie był ten rysunek i czy ta kreska była zwrócona w prawo czy w lewo. Ale jedno muszę przyznać: dzięki Politechnice nauczyłam się zaradności i mogłam wyjechać za granicę. Może teraz zrobiłabym inaczej, zrezygnowała z kierunku, nie wiem, trudno powiedzieć – opowiada Ania.

Była w Holandii, Anglii i Irlandii, w dokładnie takiej kolejności. I została w Dublinie przez około 8 lat. Z biegiem czasu zdała sobie sprawę, że chciałaby stworzyć coś swojego, a przynajmniej spróbować; bo przecież pracę w swoim zawodzie może znaleźć w każdej chwili. Kolejny brak sprecyzowanych planów, nie pomógł w podjęciu decyzji, czym



konkretnie Ania chciałaby się zająć. Z pomocą przyszła koleżanka.

- Ja od zawsze lubiłam wyszukiwać oryginalne ubrania, dla siebie czy znajomych. Któregoś razu, przy winie, koleżanka zasugerowała mi, że może powinienam właśnie w tym spróbować się odnaleźć. W lipcu 2010 roku uruchomiłam sklep internetowy fashionfreak.pl.

Strona działa przez okrągły rok. Wtedy Ania postanawia wrócić do kraju, na stałe. Równocześnie chce otworzyć miejsce stacjonarne dla swojego sklepu. Pomogła jej w tym Basia Romanowska, która działa w Łodzi pod szyldem Łódzkich Zakładów Przemysłu Twórczego, w skrócie ŁZPT, organizując cykliczne kiermasze łódzkich projektantów i rękodzielników.

- Basię znałam dużo wcześniej. Jak w rozmowie z nią pochwalałam się, że wracam do Polski, otwieram swój butik i praktycznie zaczynam od zera, Basia stwierdziła, że może się do mnie przyłączyć i zrobić siedzibę ŁZPT. W ramach ciekawostki dodam, że Basia jest po pedagogice, więc żadna z nas nie jest wania. Obie jesteśmy po prostu pasjonatkami, ja chyba większą niż Basia.

Odpowiedniego miejsca szukały dwa miesiące. Chciały być w centrum, stąd naturalnym wyborem była ulica Piotrkowska. Dlaczego brama? Z prostej przyczyny – lokale w bramach są o wiele tańsze. W końcu znalazły odpowiedni metraż w administracji; całe 100 m² do ich dyspozycji.

- Wynajęcie ekipy remontowej niestety było nierealne finansowo, stąd wybór był prosty – zwołałyśmy znajomych, którzy pracowali na zasadzie wolontariatu. Wyburzaliśmy

ściany, wywoziliśmy gruz, kładliśmy wykładzinę i zwoziliśmy meble z różnych części miasta. Większość jest z odzysku. Kanapę ktoś wyrzucił, my ją doprowadziłyśmy do porządku i same obijałyśmy.

Jeszcze przed otwarciem, Ania zaproponowała współpracę dziewczynom z „RetroVintage”, które swój mały sklep miały dwie bramy dalej, przy kinie Polonia. Niestety, oprócz sklepu, dziewczyny miały normalne prace i obowiązki, stąd z ochotą zgodziły się na współpracę z „Fashion Freak’iem”.

- Dla mnie to było naturalne. Butik miał być i jest moją jedyną pracą, więc i tak siedzę tutaj i wszystkiego pilnuje. Dziewczyny mają swoje dwa wieszaki i na razie współpraca nam się układa.

Otwarcie było 27 sierpnia 2011 roku. Oprócz oficjalnego otwarcia, odbył się także kiermasz przed sklepem, który miał być powtarzany cyklicznie. Niestety, chwilowo kiermasze zostały wstrzymane ze względu na sąsiadów.

- Nie są pozytywnie nastawieni do wszelkich inicjatyw w bramie. Oczywiście, my przed otwarciem uprzedziłyśmy, że tego dnia może być głośno, prosimy o wyrozumiałość i serdecznie zapraszamy. Mimo wszystko, o godz. 22, pomimo ciszy, sąsiedzi straszyli Policją i kubłami zimnej wody. Ale nic straconego. W planach mamy przebić się na ulicę 6 Sierpnia. Wtedy z tamtej strony będzie wejście a przed wejściem idealny skwer, już zarezerwowany na kiermasze. Musimy tylko poczekać na lato.

„Fashion Freak Offline” to nie tylko ubrania w stylu vintage. Zamiarem było połączenie tego, co nosiło się kiedyś z tym, co nosi się dzisiaj. Efekt? Ubrania oryginalne, niepowtarzalne i przyciągające oko. Ania zaprosiła również do współpracy młodych projektantów, chociaż ostatnio to oni zgłaszają się do niej. Mają swój osobny wieszak, na którym wiszą ubrania całkowicie ich autorstwa. Co jakiś czas przychodzą z czymś nowym i jak zawsze nie wychodzą z pustymi rękami. Na ubraniach jednak nie koniec. Szukasz oryginalnej biżuterii? Tutaj można znaleźć całą masę kolczyków, wisiorków, bransoletek, pasków. Zdobytych przez właścicielkę lub autorstwa łódzkiego projektanta. Katarzyna Muszyńska, Agata Pawlak, Karolina Kulicka, Piueco, Ms.DESign, to tylko niektórzy z nich.

- Naprawdę jest, w czym wybierać. Tutaj jest ciągła rotacja. Jednocześnie w dalszym ciągu działa sklep internetowy. My jesteśmy takimi 'szperaczami', bo szperamy i szukamy, gdziekolwiek jesteśmy. Potem przerabiamy, dodajemy coś od siebie, w zależności od wizji, i sprzedajemy.

Niezaprzeczalnym atutem jest kącik męski. Nie, nie jest to zwykły kącik. Choć ubrań zaledwie garstka, to atrakcją jest wygodny, niebieski fotel oraz mały telewizor, przed którym stoi nic innego, jak najprawdziwszy Pegasus, czyli konsola do gier telewizyjnych. Młodszy czytelnicy, co prawda nie mieli szans na styczność z tą formą rozrywki, jednak starsi z pewnością pamiętają legendarną grę „Mario”. Tak więc moje drogie Panie, nie bójcie się przychodzić tutaj ze swoimi partnerami na zakupy. Oni bardzo szybko znajdą dla siebie idealne zajęcie.

- Uważam, że był to trafiony pomysł. Teraz jest już tak, że to chłopcy przyprowadzają swoje dziewczęta na zakupy i od progu obierają kierunek do swojego kącika. Przez jakąś godzinę rzeczywistość ich nie interesuje.

Ale to jeszcze nie koniec atrakcji. Wystawy, stylizacje, sesje fotograficzne.

- Chciałam stworzyć nie tylko butik, ale też i miejsce, w którym dzieją się ciekawe rzeczy. Stąd kiermasze, wymiany ubrań i wystawy młodych grafików i fotografów. Każdy może się u nas 'wystawić'; teraz mamy zdjęcia Marty Raweckiej, wcześniej wisały tutaj prace Weroniki Kaźmierczak. Wypożyczamy ubrania na sesje fotograficzne lub przeprow-

adzamy je u nas w butik; współpracujemy z Mariuszem Jabłońskim, Rafałem Sprengiem. Chciałabym rozszerzyć działalność, organizować wieczorki tematyczne, warsztaty, spotkania ze stylistką, ale to wszystko musi się jeszcze rozwinąć. Działamy dopiero 5. miesiąc, więc wszystko przed nami. Na szczęście, mam mnóstwo pomysłów.

Na razie „Fashion Freak Offline” jest jeszcze miejscem dla wtajemniczonych. Ze względu na lokalizację nie rzuca się w oczy, więc klienci dowiadują się o butik drogą poczty pantoflowej.

- Jakoś sobie radzimy, nie narzekam. Oczywiście, zawsze można sobie życzyć lepszego utargu, ale jestem dobrej myśli. Przychodzi o wiele więcej osób, niż się spodziewałam, a niedługo się rozkręcimy. Są lepsze i gorsze dni. Ale nawet w te gorsze, jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, więc na nudę nie narzekam.

Czym wyróżnia się „Fashion Freak Offline”, oprócz różnorodnością i specyficznym stylem, na tle innych miejsc w Łodzi? Atmosferą. Trudno jest opisać wnętrze. Jest ono do tego stopnia bogate i kolorowe, że trzeba samemu to zobaczyć. I wcale nie trzeba być

klientem, by wypić przepyszną herbatę czy kawę, i usiąść na pomarańczowej kanapie, gdzie można do woli podjadać zawsze czekające na chętnych ciastka, z jazzem w tle i Lolą na kolanach. No właśnie, pies o imieniu Lola to nowa współwłaścicielka butiku.

- Znalazłam ją przed świętami i przygarnęłam. Oczywiście, rozwiesiłam plakaty, ale nikt się po nią nie zgłosił i została ze mną. Mamy z nią kilka problemów, bo trochę boi się ludzi i na wstępie musi trochę poszczekać. Ale powoli się przyzwyczaja. Ostatecznie jest tak, że po chwili wyłapuje okazję, by tylko się z kimś pobawić lub zwyczajnie wskoczyć na kolana. Jest bardzo przyjazna i radosna.

Łódź nie jest szarym miejscem. Mamy oryginalne rowery na ulicach, które przyciągają wzrok każdym szczegółem, antykwiariat pełen nie tylko wspomnień, ale i ciekawych ludzi, a także sklep, w którym nie tylko można kupować, ale też zwyczajnie odpocząć po męczącym dniu, gdzie możemy poczuć się, jak u siebie. A to jeszcze nie koniec ciekawych miejsc, pomysłów i inicjatyw. Wszystko jeszcze przed nami.

Karolina Radwańska



Profesor Zagadka

Agnieszka Wojciechowska

Nienagannie skrojony płaszcz, na głowie ciemny kapelusz, a w rękę skórzana teczka. Lekko przygarbiony, ale poruszający się z charakterystyczną werwą starszy pan, o wielkim uroku i niespotykanych już dziś manierach. Takiego Go zapamiętałam. Zawsze pierwszy otwierał drzwi klatki schodowej i z gentelmańskim uśmiechem mówił: „Proszę, młoda damo!” Nikt mnie tak nie traktował, i nic dziwnego miałam, wtedy niespełna 7 lat.

Przeważnie był zamysłony, jakby nad czymś pracował. Nawet idąc chodnikiem potrafił minąć znajomą osobę, nie odrywając wzroku od swoich butów. Wystarczyło odezwać się, a zmieniał się w rozmownego, dowcipnego pana. Ktoś, kto Go nie znał, nigdy nie uwierzyłby, że siwy mężczyzna, emeryt, z łagodnym wyrazem twarzy, jest autorem podręczników akademickich.

Właściwie nie pamiętam, kiedy Go poznałam. Nie wyróżniał się wśród innych sąsiadów. Nasza znajomość rozkwitła, gdy rozpoczęłam naukę w Szkole Muzycznej. Pewnego popołudnia w drzwiach mojego mieszkania pojawił się Profesor z zaproszeniem na koncert do filharmonii. Ten dzień dobrze zapamiętałam. Było to pierwsze spotkanie z muzyką poważną i nie tylko. Podczas przerwy podchodziło do nas mnóstwo osób, wśród nich ludzie kultury, sztuki i nauki. Kiedy ktoś pytał: „A co to za dziewczynka?“, mój Mentor z wielką powagą odpowiadał: „To moja znajoma, obiecująca młoda skrzypaczka.” Na wielu twarzach pojawiał się lekki uśmiech, ale Profesor wypowiadał te słowa śmiertelnie poważnie, jakby przedstawiał prawnika lekarzowi.

Z czasem koncerty stały się naszym zwyczajem. Raz w miesiącu piątkowe wieczory spędzaliśmy razem. Zdarzało się, że podczas koncertu zamykał oczy i zasypiał. Początkowo niepokoiło mnie to. Bałam się, że ktoś zobaczy, że to mało stosowne. Ale nikt nie zwracał na nas uwagi a z biegiem czasu zrozumiałam, że muzyka przenosi Go w stan niezwyklej harmonii ciała i umysłu. On wcale nie spał, on chłonał każdy takt i każdą nutę.

Wracając tramwajem z dawnej siedziby filharmonii, przy Piotrkowskiej 243, zawsze dzieliliśmy się naszymi wrażeniami. Od tych poważnych, dotyczących wykonania utworów, do prozaicznych - kto klaskał w niewłaściwym miejscu.

Człowiek nauki wiedział, jak umilić wspólną podróż. Kiedy pojawiały się na Jego czole poprzeczne zmarszczki i lekko mrużył oczy, to już wiedziałam, będą

tortury! - Rzucasz dwie kostki do gry z sześcioma oczkami. Ile jest możliwości wyrzucenia liczby 7? – pytał z uśmiechem. To był koszmar, choć nie dla Profesora. On najwyraźniej dobrze się bawił. Im bardziej chciał mi pomóc, tym szybciej traciłam głowę. Moje niezdecydowanie motywowało Profesora do dalszych działań. Niewątpliwie, sprawiało Mu to przyjemność. Mnie niekoniecznie. W tamtym czasie zadania matematyczne sprawiały mi wielką trudność. Dzisiaj wiem, że Profesor za wszelką cenę chciał we mnie rozbudzić pasję do liczb.

Łamigłówki pojawiały się nie tylko w tramwaju. Czasem w najmniej oczekiwanym momencie, jak tuż przed koncertem: „Wiesz dlaczego mamy bilety po prawej stronie widowni?” Nie wiedziałam, choć bardzo chciałam zaimponować swoją wiedzą. Byłam już uczennicą 4. klasy. „Odpowiesz mi na przerwie”, uciął profesor z uroczym przekąsem. Był to koncert fortepianowy z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Profesor zatonał w morzu muzyki, a ja obgryzając paznokcie dedukowałam nad odpowiedzią. Nie dałam rady. To był dyshonor dla przyszłego muzyka. Profesor z wielkim rozbawieniem wyjaśnił: „Z prawej strony widać klawiaturę fortepianu, teraz już zapamiętasz!”

Raz w roku, pod koniec czerwca, Profesor zapowiadał się na kawę, w celu sprawdzenia moich postępów u nauce. Chciał obejrzeć świadectwo ze Szkoły Muzycznej. Nie miałam się czego wstydzić. Dzięki Bogu nie chciał oglądać moich ocen z matematyki. Doskonale wiedział, że nie są najlepsze i oszczędzał mi wstydu. Świadczyło to o jednym – mój Mistrz był szalenie taktowny.

Mijały lata. Nadal bywaliśmy na koncertach, ale coś się zmieniło. Skończyły się zadania matematyczne. Ich miejsce zastąpiła poezja. Była to kolejna wspólna pasja. Profesor pożyczał mi tomiki wierszy polskich poetów: Asnyka, Konopnickiej czy Mickiewicza. W tramwaju rozmawialiśmy głównie o literaturze; o tym, co poeta miał na myśli. Pamiętam rozprawy o Skamandrytach - Tuwimie, Iwazskiewicz, Wierzyńskim.

Podróże stały się przyjemniejsze. Od czasu do czasu Profesor zapraszał mnie do domu, po odbiór kolejnej lektury. W jego mieszkaniu były ogromne ilości książek, poukładanych na regałach, półkach i w każdym wolnym miejscu. Decyzję, co powinnam przeczytać, podejmował Profesor. Podchodził do półki, mrużył oczy i drapiąc się po głowie, wybierał stosowną publikację.

Bywało, że podczas przypadkowego spotkania na klatce schodowej, mówił: „Wejść do

mnie proszę, mam coś, co Cię zainteresuje.” Nie zawsze można było dostać się do jego „twierdzy”. Kiedyś, po takim zaproszeniu, wbiegłam na 3. piętro i wchodząc w długi korytarz, usłyszałam dźwięki V Symfonii Ludwika van Beethovena. Dobrze znałam ten utwór, każdy szczegół, każdą nutę. Im bliżej byłam mieszkania, tym dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Silna, młodzięcza ciekawość nie pozwoliła mi czekać. Natychmiast wcisnęłam dzwonek. Jeszcze raz i jeszcze... niestety, Profesor nie słyszał. Muzyka była zbyt głośna. Do dziś nie wiem, jaką lekturę miałam wtedy otrzymać.

Rankami, kiedy wychodziłam do szkoły, Profesor wychodził na spacer. Codziennie przemierzał parę kilometrów. Twierdził, że dzięki kondycji fizycznej nie choruje. Złosił się tylko wtedy, gdy zimą spotykał mnie bez czapki na głowie. Zabrakło nam czasu na jeszcze jedną pasję – góry. Profesor był zapalonym podróżnikiem a ja, niestety za późno odkryłam istnienie Tatr.

Porządkując domową bibliotekę natrafiłam na jedną z jego publikacji „Iksy i igrekami” Włodzimierz Krysiński. Wyblakła okładka, z lekko zagiętym lewym, górnym rogiem. Na jej grzbiecie widoczne były załamania. Otworzyłam książkę i na karcie tytułowej odczytałam wypisane w pospiechu słowa:

„Agnieszko - z życzeniami, aby posługiwanie się „iksami i igrekami” opanowała w tym stopniu, w jakim już posługuje się takimi symbolami, jak a, b, c... autor Łódź listopad 1993r.”

Włodzimierz Krysiński – Urodził się w 1905 r. w Warszawie, Łódzianin z wyboru. Nestor polskich matematyków, probablista, profesor Politechniki Łódzkiej, Doktor Honoris Causa tej uczelni. Wychowawca kilku pokoleń polskich matematyków, autor wielu publikacji naukowych, w tym podręczników akademickich tłumaczonych na języki obce. Zmarł w 2001 roku.



Agnieszka Wojciechowska

Poppy, czyli 5 tez o polskiej muzyce

Joanna Grabarczyk

Czy jest na sali ktoś, kto trwa w nadziei, że muzyczną karierę w Polsce da się zbudować na muzyce i ciężkiej pracy, a nie na skandalach i skandalikach, „parciu na szkło” i „rozdzieraniu szat” na łamach tabloidów? Nie? Poznajcie zatem Poppy a wraz z nią 5 potężnych tez o muzyce, o których wszyscy dawno już w Polsce i na świecie zapomnieli. Niestuszenie.

Kasia Popowska, gdyż tak naprawdę nazywa się Poppy, śpiewa. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, iż znana jest... właśnie z tego. Nie buduje kariery muzycznej przez „szklane okienko” i nie chce być znana z tego, że jest znana, chociaż wzięła udział w programie „Mam Talent!”. Po namyśle stwierdza, że gdyby była ciasteczką, byłaby bezą z kremem, gdyż na zewnątrz stara się być twarda, lecz w środku jest typem wrażliwca.

Teza I: Mainstream ma wiele twarzy

Celebrytka czy „wykluczona”? Jak Ty sama siebie byś zaklasyfikowała?

Jestem osobą, która po prostu spełnia swoje marzenia. Naprawdę ciężko mi określić się jakoś. Na pewno można mnie zaliczyć do „mainstreamu”, do rzeczy komercyjnych. Wszystko, czym się zajmuję, jest popowe.

A Piknik Country w Mrągowie?

Na Piknik Country mnie po prostu zaproszono. Sama się nie zgłaszałam. W zeszłym roku zadzwonił do mnie organizator, pan Lonstar - cudowny człowiek, gwiazda muzyki country. Zrobił największą karierę, jeśli chodzi o ten gatunek muzyki, zarówno w Polsce, jak i za granicą, głównie w Stanach Zjednoczonych. Dowiedziałam się, że jego żona wyszukała mnie w Internecie. Pan Lonstar zaprosił mnie do udziału w konkursie „Siedmiu Wspólników” w ramach festiwalu. Czemu miałam nie spróbować? To nie są rzeczy zupełnie mi obce, bo jakby nagiąć nieco formułę konkursu, to mogłaby tam zaśpiewać i Shania

Twain, która jest nieco popowa, nieco country. To dobra promocja i niezłe doświadczenie. Piknik Country to także festiwal z fajną publiką. Jak na mój „pierwszy sceniczny raz” uznałam ją za dobry target. Zresztą nadal uważam, że są świetni. Zaśpiewałam „Jolly” Dolly Parton.

Jak Cię przyjęli?

Ciężko powiedzieć. Dla mnie to zamazane wspomnienie. Pamiętam, ludzie krzyczeli, bawili się, klaskali. Oczywiście, tego nigdy nie widać w telewizji, bo nie robią wielu „rzutów” na publikę. To było bardzo sympatyczne.

Teza II: Muzyka obroni się sama

Jak to wszystko się zaczęło?

Moi rodzice od zawsze otaczali mnie muzyką. Ledwo potrafiłam chodzić, ale śpiewem zawsze zabawiałam wszystkich gości na imprezach. Udzielałam się, jak tylko mogłam. Przez 10 lat chodziłam na zajęcia taneczne do różnych domów kultury w Łodzi. W międzyczasie było też kółko teatralne. Bardzo lubiłam śpiewać i wiedziałam, że to potrafię, ale nikomu się nie chwaliłam. W związku z tym nikt pewnie by nie uwierzył, że ja chcę to robić, bo nikt nie słyszał, jak śpiewam. Odkryłam się sama! Pewnego dnia obejrzałam film „Seleno”. To jest biografia piosenkarki Tejano. Wtedy grała ją Jennifer Lopez. Bardzo byłam poruszona tym filmem. Któregoś wieczoru przyszedłam do mojej mamy i zaczęłam śpiewać piosenki Seleny. Stwierdziłam: „No kurczę, śpiewać bym chciała, i nic innego!”. Mama mnie posłuchała i stwierdziła: „Nie, żadne tańce! Musisz się zapisać na śpiew!”. Nie było tak, że poświęciłam się tylko temu, bo i śpiewałam, i tańczyłam, i robiłam różne inne rzeczy na raz, ale od tamtego momentu śpiewanie zaczęło wieść prym. Potem wszystko po kolei zaczęło odpadać. Między tańcem a śpiewaniem, wybrałam śpiewanie. Miałam wtedy jakieś 14 lat.

Zaczęłaś karierę wokalistki w sposób bardzo nietypowy, jak na Polskę - dzięki Internetowi. Kto umieszczał Twoje filmiki na youtube?

Wszystko robiłam sama. Nagrywałam je u brata w pokoju. Miałam kamerę pożyczoną od rodziców. Po 2 latach śpiewania wpadłam na taki pomysł, żeby to, co śpiewam, nagrywać i umieszczać w Internecie. Wówczas na youtube.com stało się popularne „Me Singing”, czyli „wrzucanie” na youtube.com ulubionych utworów we własnym wykonaniu. W tym portalu pojawiły się takie osoby, jak Esmee Denters - Holenderka, która podpisała kontrakt dzięki temu serwisowi. W Kanadzie „wypłynął” Justin Bieber. Stwierdziłam, że ta moda przyjdzie też do nas, skoro jest to zjawisko popularne na Zachodzie. Pomyślałam: „Co tam, raz kozie śmierć, pewnie dostanę za to ostre cięgi” - bo kiedy jesteś w czymś pierwszy i wychodzisz z taką ideą do ludzi, to zazwyczaj ostro za to obrywasz. Faktycznie tak było. Moje konto nie było w ogóle popularne, miało marne wyniki oglądalności. We własnym zakresie wysyłałam linki do moich wykonania, gdzie się dało; informowałam ludzi; konsekwentnie nagrywałam, nagrywałam i nagrywałam, i w końcu okazało się, że moja popularność rośnie. Konto zaczęło być naprawdę megapopularne po tym, gdy ktoś jednego dnia umieścił link do mojego filmu na wykop.pl. Pamiętam, że któregoś wieczoru przyszedłam do domu i miałam zawaaloną wiadomością skrzynkę pocztową. Skrzynkę mailową miałam połączoną z kontem na youtube, więc jeżeli ktoś mi komentował coś na serwisie, to powiadomienie dostawałam mailem. Myślałam: „Kurde, coś jest nie tak.” Po czym loguję się na youtube i widzę, że faktycznie, film ma około 100 tysięcy wyświetleń... Później osiągnął milion. To był szok! Informacja zaczęła się roznosić. Potem poszło już z górki. Wszyscy zaczęli pisać, wszyscy zaczęli się interesować, link pojawił się na jeszcze jednym portalu, i jeszcze na jednym, i tak to się rozniosło. Dostałam również część roli w dubbingu do „Zaplątanych”. Zaproszono mnie na casting dzięki obecności na youtube. W ogóle wszystko, co się dzieje w moim życiu, dzieje się dzięki temu portalowi, mogę to przysiąc z ręką na sercu! Zainwestowałam w swoją obecność tam mnóstwo pracy. Stawiałam kamerę na stse książek, włączałam „Record” i nagrywałam dopóty, dopóki nie wyszła mi prawidłowa wersja; taka, którą można się pochwalić. To trwało długo - czasem 3, czasem 4 godziny.

Jak ludzie reagowali na to?

Podchodzili bardzo specyficznie. Wizytujący mój profil w serwisie, zazwyczaj nie komentowali, więc można pomyśleć, że mieli coś przeciwko i uznawali to za infantylne. Z drugiej strony byli tacy, którzy komplementowali. Nigdy się tym za bardzo nie przejmowałam. Stwierdziłam, że jeśli naprawdę chcę śpiewać, to muszę poważnie wziąć sprawę w swoje ręce i nie zwracać uwagi na innych, bo to nie ma sensu. Gdybym przywiązywała wagę do cudzych opinii to uwierz mi, polegåłbym już po roku śpiewania.

Komentarze były aż tak złośliwe?

Jeżeli chodzi o youtube, to tak. Jeśli o znajomych, to nie. Albo się w ogóle w to nie angażowali, albo wspierali mnie i jeździli ze mną na występy. Na początku przeważały negatywne opinie, bo w Polsce było to nowe. „W ogóle, o co chodzi? Dziewczyna staje przed kamerą i śpiewa!”. Wtedy było to nie do pomyslenia. Były komentarze, że jestem psychicznie chora. Pisali też, że nie potrafię śpiewać, że akcent po angielsku nie taki, jak trzeba, a to bluzka powinna być inna, a to mina niedobra, makijaż za mocny, za lekki, fryzura do niczego. Z braku laku bywało i tak, że komentowali ścianę, która jest za mną – na filmikach lepszej jakości da się dostrzec takie szczegóły – bo kafelki są źle położone! Czepić się można wielu rzeczy. Teraz jest już więcej pozytywnych komentarzy.

Chwile zwątpienia?

Pewnie, że były! Spełnianie marzeń okupione jest jakimś cierpieniem, poświęceniem. Na początku bywałam zdołowana tym, że ludzie źle mnie odbierają. Nie zdajesz sobie tak naprawdę sprawy z tego, jak toksyczne jest środowisko Internetu. Ktoś napisze komentarz, a potem okazuję się, że po drugiej stronie kabla jest jakaś gorąca trzynastka, która pisze, co jej ślina na język przyniesie. Ale bywało, że nawet przez takie głupie komentarze miałam doła. Czasami denerwowało mnie, że to wszystko tak długo trwa. Czekałam na jakieś propozycje, ale ich nie było. Bywałam też zła na siebie, że nie jestem w stanie być technicznie tak dobra, jak bym sama chciała. Miałam wrażenie, że zawodzę.

Jak opisałabyś ten etap swojej kariery muzycznej?

Przygotowuję swoją debiutancką płytę. Chcę, żeby była ona jak najlepsza, więc trochę to nieestety trwa. Cały czas staram się komponować, tworzyć na gitarze. Piszę teksty i komponuję muzykę. Nie jestem muzykiem z wykształcenia,

więc nie robię tego na jakimś super poziomie, ale komponuję sama. Zupełnie nie angażuję się w te plotkarskie afery, w opowiadanie o sobie nie wiadomo czego, bo najważniejsza jest dla mnie muzyka. I to, że dużo bardziej prawdziwa i pewna siebie będę wtedy, kiedy będę miała z czym wyjść do ludzi.

Teza III: Droga na muzyczny szczyt przez „szklane okienko” to jak droga na szklaną górę

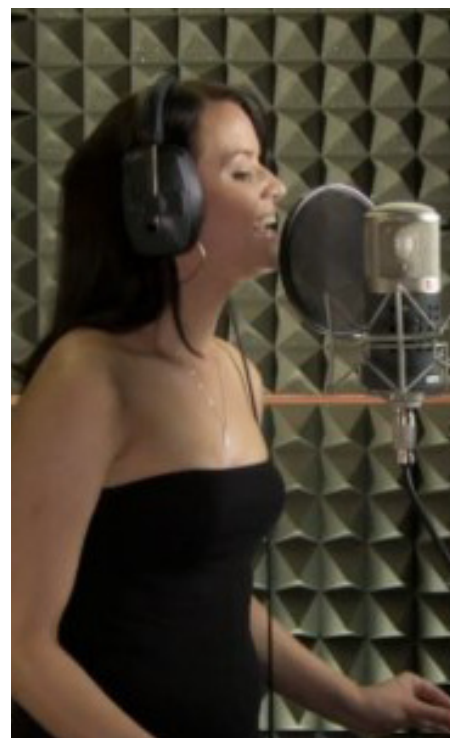
Jak oceniasz swój epizod w „Mam Talent!”? Mnóstwo ludzi ujęło się za Tobą po werdykcie jury, który mimo trzech głosów na „tak”, nie przepuściło Cię przez eliminacje.

Byłam już wtedy znana w Internecie. Miałam 20 tysięcy subskrybentów na youtube, z czego większa część to byli Polacy. Wiedziałam, że ten werdykt nie przejdzie bez echa, że coś się święci. Dowiedziałam się wcześniej, że odpadłam. Zjawka z moim udziałem pojawiła się jako pierwsza i fani już czekali na ten odcinek. Byli święcie przekonani, że dotrę do finału i wygram. Życzyli mi jak najlepiej, wierzyli we mnie. Wiedziałam, że to może przybrać taki dziwny obrót. Ludzie się zbuntowali, kiedy się okazało, że najpierw jurorzy są na „tak”, a potem zostałam odrzucona. Złożyli więc petycję i zaczęła się burza. Nie wiem, jak to skomentować. Cieszę się, dla mnie to jest na korzyść. Cieszę się, że jest tylu ludzi, którzy mnie wspierają. Okazuje się nagle, że zdanie 3 osób jest mało istotne wobec tego, jaka ilość ludzi się zaangażowała w tę akcję. Dla mnie to dowód na to, żeby dążyć naprzód i spełniać swoje marzenia.

Na koncertach śpiewasz przed wielką publicznością, wystąpiłaś w „Mam Talent!”, co wymagało ogromnej odwagi, ale w „Dzień Dobry TVN” wydawałaś się ogromnie spięta. Jaka jest naprawdę Kasia Popowska?

To proste – nie chodzi o stres przed kamerami, tylko przed rozmową. Zajmuję się muzyką. Oczywiście, artysta powinien oprócz muzyki umieć także rozmawiać z ludźmi, z dziennikarzami, udzielać wywiadów takich, jak ten, ale ja całe życie przygotowywałam się do śpiewania, a nie do rozmów. Być może to nieco naiwne i nieprawidłowe. Samo wyjście przed kamerę, czy na scenę, dla mnie jest czymś super. Jeśli chodzi o „Mam Talent!”, to tam też można mieć wrażenie, że się stresowałam, ale tak naprawdę byłam chora. Po prostu nienawidzę wychodzić na scenę, kiedy jestem niedysponowana, przeziębiona. Natomiast co do samych występów scenicznych, to nie jestem zestresowana.

Chociaż na razie niewiele Cię widać w telewizji, odniosłaś pierwszy sukces w związku z „wielkim ekranem”. Zostałaś zaproszona do



współpracy przy dubbingu do polskojęzycznej wersji filmu „Zapłątani”. Nagrałaś również piosenki do tego obrazu.

Zadzwoiła do mnie producentka z zespołu „Zapłątanych” i poprosiła o udział w castingu, bo była moją fanką od samego początku. Oczywiście na youtube. Czekala na moment, kiedy będzie mogła wykorzystać mój głos w jakiś sposób i zaprosić mnie do współpracy. Dla mnie to była ogromna szansa. Oprócz tego, że śpiewam, zawsze interesowałam się też filmami i graniem. Kiedyś wybierałam między aktorstwem lub śpiewaniem, ale zostałam przy śpiewaniu. Jednak w głowie mam dużo różnych pomysłów na siebie. Film, stricte dubbing, była dla mnie sytuacją zupełnie nową, wielkim przeżyciem.

Jak reagują ludzie spotykani przez Ciebie na co dzień? Rozdajesz autografy?

Pamiętam, że w centrum Warszawy zostałam rozpoznana, gdy wracałam ze studia. Naprzeciwko mnie siedziała dziewczyna, która zaczęła się we mnie intensywnie wpatrywać i słać gorączkowo jakieś SMS-y. Nie chciałam już nawet myśleć o tym, że ona mogła mnie poznać, bo byłam strasznie zmęczona i śpiąca. Kiedy wysiadła, zapytała: „Ty jesteś Kasia Popowska, tak? Bardzo ładnie śpiewasz!”. To było miłe. Nie wzięła autografu, ale zaczęła, rozpoznała. Przy okazji Pikniku Country też rozpoznała mnie jakaś kobieta, ponoć po oczach i dzięki „Mam Talent!”. Wzięła autograf. Zdarzyła się też sytuacja w gabinecie lekarskim, ale już więcej tam nie wróciłam. (śmiech) Miałam okazję rozdawać autografy, ale nie za wiele. Czasami fani proszą mnie na Facebook’u o autograf. Czasami proszą, żeby im przesyłać pocztą, ale nie widzę



w tym na razie większego sensu. Nie organizują żadnych zlotów samouwieblenia. Ludzie zaczęli mnie rozpoznawać po „Mam Talent!”. Youtube nie ma jeszcze takiej „siły rażenia”. Czasami przedstawiam się i zapada lekkie poruszenie, gdyż mam dość charakterystyczne nazwisko. „Kasia Popowska? Zaraz, zaraz, coś mi to mówi...” – i wtedy zaczyna się rozmowa. Czasem jest tak, że gdzieś się z kimś umówię i ktoś mnie skojarzy. To momentami dość kłopotliwe, że ktoś coś o tobie wie, a ty o nim zupełnie nic.

Czy w Internecie da się zrobić wielką karierę? Czy to już mainstream taki, jak radio czy telewizja?

Wydać mi się, że w tym momencie, to już jest mainstream. Internet jest na równi z tym, co się dzieje w rzeczywistości. Teraz jest o wiele łatwiej dzięki niemu zaistnieć. Wystarczy tylko umieścić w sieci jakieś swoje wideo – może być głupie, nieważne jakie – istotne, żeby zaskakiwało i było w jakiś sposób interesujące. Następnie okazuje się, że łatwiej, i przede wszystkim lepiej zrobić właśnie to niż zostawić swoje demo w koszyku w jakiejś wytwórni, gdzie będzie leżało przykryte innymi płytami przez najbliższe 5 lat.

Dostałeś do ręki narzędzie, Internet, i jako pierwsza w Polsce wpadłaś na to, że można go wykorzystać właśnie w taki sposób. Niezależnie od innych kierujesz swoją karierą. Nie boisz się, że klika wytwórców lub większe media będą blokować Twoją karierę przez Twoją niezależność?

Na świecie jest tak, że to artysta sam kreuje swój wizerunek. To nie media i nie telewizja powinny go kreować. Nie może być tak, że artysta zgłasza się do telewizji, bo chce wziąć udział w tym albo w innym programie, dzięki czemu zaistnieje w jakiś sposób. To telewizja przychodzi do świet-

nych artystów. Staram się nawet nie wchodzić w te czysto techniczne szczegóły, bo naprawdę mnie to nie interesuje. Robię swoją muzykę i naprawdę chciałabym być przede wszystkim zadowolona z siebie wokalnie i nie mieć zadyszki na koncertach (*śmiech*). Zależy mi na poruszaniu tłumów ludzi. A to, czy przyjdzie z tym jakaś popularność... Jeżeli przyjdzie, to fajnie.

Sądzisz, że uda Ci się coś pod tym kątem zmienić na polskiej scenie muzycznej?

Myślę, że wszystko jest do zrobienia. Nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli sobie coś postanowię, to póki nie będzie tak, jak chcę, to nie odpuszczę. Oczywiście, na razie wcale się nad tym nie zastanawiam, czy uda mi się coś naprawdę zmienić, bo nagrywam płytę i chcę nagrać ją na jak najlepszym poziomie. Ale wierzę, że mi się uda. Wierzę też, że da się to zmienić. Wierzę, że można być znanym z tego, że się śpiewa, że jest się wokalistą lub wokalistką i robi się muzykę, a nie z tego, że jest się... po prostu znanym z tego, że jest się znanym – wokalistą piszącym blog, etc. Jasne, to jest ważne, żeby trzymać jakiś kontakt z ludźmi, ale nie za cenę tego, by przedkładać te rzeczy nad swoje pasje i to, o co tak naprawdę chodziło.

**Teza IV:
Wizerunek i zabiegi managera nie są jeszcze muzyką. Na szczęście?**

W Internecie można natknąć się na wiele Twoich fotografii. Są fotografie w studiu, gdzie Kasia jest elegancka i „bardzo amerykańska w dobrym znaczeniu tego słowa”, jak to ujęła Agnieszka Chylińska w „Mam Talent!”. Są fotki dziewczyny z gitarą, są również zdjęcia nieco stremowanej,

wzruszonej uczestniczki „Mam Talent!”. Kto kreuje Twój wizerunek i w jaki sposób?

Nikt mi go nie kreuje. Nawet nie jestem w stanie obiektywnie udzielić ci odpowiedzi na temat swojego wizerunku. Mam ogromne szczęście pracować z ludźmi, którzy w ogóle nie narzucają mi swojej wizji. Nie mają parcia na to, żebym robiła dokładnie to, co oni mi mówią. W ogóle nie narzucają mi wykreowanej formy, nie wkładają mnie w nią.

Które wcielenie najbardziej lubisz?

Czuję się na pewno bardzo dziewczęca i bardzo normalna. Jeżeli z któregoś z tych zdjęć możesz to wywnioskować, to jestem właśnie ja. Lubię gitarę i na pewno chciałabym na niej tworzyć. Na pewno jestem taką „dziewczyną z Pikniku Country”. Bardzo normalną, która chce śpiewać. I już.

Wyobraź sobie wielką, przyszłą karierę. Czego obawiasz się najbardziej?

Bałabym się naruszenia prywatności. Na razie funkcjonuję tylko i wyłącznie w Internecie, a już czuję się w jakimś stopniu pod presją: muszę mieć takie a takie zdjęcia, muszę robić to i tamto, muszę się w jakiś sposób udzielać, działać. Staram się działać spontanicznie. Nie robię nic wyłącznie pod kątem zaistnienia. Piszę, jeśli naprawdę mam coś do powiedzenia. Najbardziej boję się także presji. Presji, żeby coś robić, by być obecną cały czas.

Do muzyki można podejść na luzie i ja tak bym chciała podchodzić. Ale nie wszyscy tak robią. Chodzi też o zawiedzenie fanów. Nie oszukujemy się, oprócz tego, że mają przed sobą moją osobę, mogą wybierać spośród pozostałych. Każdy oferuje coś innego, jako artyści są różni, starają się przyciągać do siebie na wiele sposobów. Mamy Dodę, Candy Girl, Marinę, Czesławę Mozillę. Każdy z nich ma inny sposób na siebie i na swoją karierę.

Na Twitterze wiele wpisów jest w języku angielskim. Myślisz od razu o karierze zagranicą?

Myślę też o karierze poza krajem. Jeśli się uda – świetnie, jeśli nie – nie będzie tragedii. Nie mam jakiegos strasznego parcia na bycie za granicą. Najważniejsze jest dla mnie po prostu śpiewać. Śpiewanie po angielsku jest przy tym o wiele przyjemniejsze i fajniejsze, niż po polsku. Angielski jest śpiewny, polski jest trudniejszy do zaśpiewania i wymówienia.

**Teza V:
Nie wszystko na sprzedaż**

Przypominasz mi nieco wczesną Edytę Bartosiewicz, która nagrywała kawałki trochę

rockowe, mroczne, bardzo osobiste, porywające. Sama komponowała i pisała teksty. I ta gitara!

Lubię ją. W ogóle chciałabym, żeby to, co tworzę, było też takie nieskomplikowane, jeśli chodzi o muzykę, ale żeby tekstowo było dobitne i w jakiś sposób poruszało. Nie chcę, żeby to było banalne. Cieszę się z tego skojarzenia z Edytą. Jeżeli chodzi o moje przeżycia, to jestem już z nimi na tyle pogodzona, by móc o tym tworzyć teksty.

O czym piszesz?

Najwdzięczniejszy temat to miłość, ewentualnie zawód partnerski. Niestety, mam za sobą nieco takich przeżyć, które trafiły mi się po drodze do tego miejsca, w którym teraz jestem. Piszę albo o miłości albo o tym, co bolało. To najbardziej ulotne tematy, które też same ze mnie wypływają. Dlatego też staram się tworzyć sama, bo uważam, że najlepiej wypadam w piosenkach, do których sama ułożyłam tekst.

Portale plotkarskie wydają się trzymać od Ciebie z daleka. Traktujesz to, jako rzecz dobrą, czy złą z punktu widzenia rozwoju kariery muzycznej?

Tabloidy mogą pomóc, mogą też zaszkodzić. W moim przypadku nie czuję się gotowa na zaistnienie w jakimkolwiek portalu plotkarskim czy w gazecie. Jeśli zaczną o mnie pisać, to jest ok. Póki robię swoje, póki wierzę w to, co robię, póki mam za sobą tylu przyjaźnie nastawionych ludzi, to nie obchodzi mnie to zupełnie. Jeśli piszą o faktach, a nie nieprawdę, to jest w porządku. Mogą zaszkodzić, jeśli publikują rzeczy oczerniające kogoś.

Zamierzasz pomóc sobie w przyszłości obecnością w mediach poprzez strony tabloidów czy portale plotkarskie?

Trzeba zapytać, na czym mi zależy? Na tym, żeby poruszać ludzi moją muzyką i tyle. Jeśli oni nagle chcą mi zajrzeć pod spódniczkę, w majtki i zadają naprawdę bardzo prywatne pytania, to się na to nie piszę. Ci artyści, których wymieniłam wcześniej – Sara May, Doda, Paulla, Gosia Andrzejewicz – są głównie znani z tego, że są znani, nie przez swoją muzykę. Zajmują się wszystkim, tylko nie tym, co najważniejsze. A mnie na tym nie zależy. Chciałabym być naprawdę postrzegana jako osoba, która śpiewa. Ludzie zadają przedziwne pytania. Boję się, że im większa popularność, tym bardziej wścibskie będą mi zadawane.

Komu ze środowiska muzycznego udzieliłabyś rady i jaka to byłaby rada?

Nie jestem na tym poziomie, by udzielać rad. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Ale Ty coś robisz, a niektórzy w dużej mierze po prostu „lansują się”.

Może chcą się „lansować”, to po prostu ich sposób. Mogę tylko od siebie poradzić, żeby iść własną drogą. Iść po swoje szczęście. Spełniać marzenia, nie zwracać uwagi na to, co mówią inni, nie zwracać uwagi na ich wątpliwości. Siedząc przed tym youtube, tworząc moje filmy, naprawdę szczerze wierzyłam w to, że ktoś po prostu zobaczy to konto, zachwyci się i podpisze ze mną kontrakt. Wszyscy się wtedy pukali w głowę – no, nie wszyscy, ale bardzo wiele osób. Oprócz tego, że mnie wspierali, mówili: „OK, Kasia, wyluzuj! Tu jest Polska!”. Ale stało się, więc to jest możliwe. Poradziłabym ludziom, żeby marzyli, naprawdę marzyli, i w końcu wymarzyli

te swoje pragnienia. Niech celują w księżyc, bo i tak wylądują zawsze gdzieś tam między gwiazdami.

Autorytet w spełnianiu marzeń, dążeniu do sławy?

Nie dążę do sławy, broń Boże! Ale wiem, że to co robię, jest popowe, więc jest jakby jednoznaczne z tym, że będzie dość znane. Najwięcej zawdzięczam Selenie, dzięki której zaczęłam śpiewać. Dopiero w momencie obejrzenia tego filmu zaświtało mi w głowie, że nie wiem, na co czekam. Kocham to, umiem to robić, więc – po prostu to zrobić! To jest mój autorytet, choć już niestety nie żyje. Dla niej nie było rzeczy trudnych, szła ku swoim celom jak burza. Myślę o piosence dla Seleny, ale jeszcze nie mam jej skomponowanej. Może kiedyś się uda.

Rozmawiała Joanna Grabarczyk



Iskra z Bełchatowa

Tomasz Jaśkiewicz

Jeszcze kilkanaście lat temu, położony w województwie łódzkim Bełchatów niewielu osobom kojarzył się ze sportem, a już na pewno nie z siatkówką. Słynny ze szkolenia młodzieży AZS Częstochowa oraz bogaty Mostostal Kędzierzyn – Koźle, do niedawna patrzyli z pogardą na bełchatowską Skrę. Dysponując niewielkim budżetem, bez systemu szkolenia młodzieży, klub nie znaczył w ligowych rozgrywkach.

Wszystko zmieniło się w 1991 roku, kiedy patronat nad klubem objęła Elektrownia Bełchatów. Pojawiły się pieniądze, poprawiła infrastruktura klubu oraz zmieniło się szkolenie młodzieży. Dotychczasowe potęgi zaczynały odczuwać stopniowe problemy finansowe. W 2004 roku Skra zaczęła rozdawać karty w polskiej lidze. Najpierw zajęła czwarte miejsce w lidze i awansowała do finału Pucharu Polski, by rok po tych sukcesach już całkowicie zdominować Polską siatkówkę. Od 2005 roku Skra Bełchatów nie oddała mistrzostwa Polski, obecnie mając już w kolekcji 7 tytułów mistrzowskich z rzędu. Jeżeli

tego dorzucimy zdobyte w tym czasie 5 Pucharów Polski, dwukrotne 3. miejsce w Lidze Mistrzów oraz dwukrotne 2. miejsce w Klubowych Mistrzostwach Świata, wyłania nam się pełny obraz potęgi powstałej w ciągu kilku sezonów.

Sukcesy te miały znaczenie nie tylko dla samej Skry, lecz również dla całej polskiej siatkówki. Dzięki nim zaczęły pojawiać się firmy, a co za tym idzie również i pieniądze dla pozostałych klubów z ligi. Warty uwagi jest również fakt, iż od kilku sezonów o sile kadry Polski decydują właśnie siatkarze z Bełchatowa, co świadczy o stawianiu na polskich zawodników w tym klubie.

Ostatnio w mediach pojawiła się dyskusja na temat tego, czy spółki państwowe powinny wspierać kluby sportowe. Wiele osób jest przeciwna temu działaniu, jednak ja jestem jak najbardziej za, pod warunkiem prowadzenia w klubach polityki takiej, jak w Skrze Bełchatów.

Tomasz Jaśkiewicz

Moje życie

Patrycja Suligowska

Skarżysko-Kamienna to miasto powiatowe w woj. świętokrzyskim o liczbie ludności ok. 50 tys. Bezrobocie sięga tu nawet do 25% i jest najwyższe w całym województwie. Duży wpływ na wskaźnik bezrobocia mają migracje młodych ludzi. Wielu z nich decyduje się wyjechać do większych miast na studia, w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. W mediach życie w wielkim mieście przedstawiane jest jako sielanka. Oglądając takie sceny, ludzie wyobrażają sobie bezproblemowe życie, pod warunkiem, że wyrwą się z małego miasta. Robią więc wszystko, by wyjechać. Niektórym się to nie udaje. Z różnych powodów: źle zdana matura, sytuacja materialna, zwykle lenistwo czy niespodziewane wypadki losowe. Są jednak tacy, którzy mimo przeciwności losu i ciężkich początków, zrobili wiele, by ich życie było takie, jak sobie wymarzyli i to w rodzinnym mieście.

Zawsze lubiłam pomagać

Anna ma 24 lata i mieszka w Skarżysku-Kamiennie od urodzenia. Na pierwszy rzut oka drobna, niepozorna kobieta. Jednak, poznając ją bliżej, zauważyć można wielką energię i radość życia.

Ania ukończyła liceum o profilu socjalnym. Wtedy podjęła decyzję, co chce robić w życiu. Po maturze rozpoczęła naukę w Centrum Kształcenia Pracowników Służb Społecznych, na kierunku - pracownik socjalny. Praktykę odbyła w Domu Pomocy Społecznej w Skarżysku. Po trzech latach nauki, uzyskała tytuł licencjata i podjęła staż w Zespole Placówek Opieki Wychowania i Interwencji Kryzysowej „Przystań”. Po ukończonym stażu i trzymiesięcznym okresie próbnym, dostała umowę na czas nieokreślony.

W wolnym czasie Ania jest wolontariuszką w Zespole Charytatywnym Caritas Parafii św. Józefa, gdzie popołudniami organizuje czas dzieciom z rodzin o trudnej sytuacji życiowej. Zajmuje się pomocą w odrabianiu lekcji, organizowaniu czasu wolnego, rozwojem intelektualnym. W okresie wakacji oraz ferii zimowych wyjeżdża z dziećmi na kolonie i wycieczki. Mimo tego, iż pracuje i czynnie udziela się charytatywnie, podjęła się także pomocy przy organizacji Olimpiad Specjalnych.

Nie bacząc na zmęczenie i brak czasu, nie wyobraża sobie życia bez swoich, jak to ciągle podkreśla, podopiecznych. Twierdzi, że nigdy nie pożałuje decyzji o pozostaniu w mieście rodzinnym.

- Praca z dziećmi sprawia mi wiele radości. Czuję, że dając coś od siebie,



ie w małym mieście

w zamian dostaję dwukrotnie więcej. Z pozoru jest to łatwe zajęcie, jednak codziennie zmagam się z trudnościami. Zdarza się, że jestem bardzo zdolowana, chwilami chciałabym to rzucić i zająć się swoim życiem. Jednak, kiedy widzę uśmiechy na twarzach podopiecznych wiem, że moja praca nie idzie na marne - mówi Anna.

- Jestem jedynaczką, na podwórku zawsze bawiłam się z młodszymi od siebie, opiekowałam się nimi. Jako nastolatka, dorabiałam pilnując dzieci sąsiadów. Zawsze lubiłam pomagać. Nigdy nie przypuszczałam, że w taki sposób zorganizuję swoje życie. Najważniejsze to odnaleźć to, co kochamy i tym zajmować się w życiu - dodaje.

Na własną rękę

Marcin, 23-letni absolwent Technikum Ekonomicznego w Skarżysku. Po maturze podjął studia na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach, na wydziale zarządzania. Naukę rozpoczął w trybie zaocznym i nigdy nie wyprowadził się ze Skarżyska. Przez dłuższy czas był zarejestrowany, jako bezrobotny w Powiatowym Urzędzie Pracy, kiedy więc nadarzyła się okazja, podjął pracę w zakładzie stolarskim. Na początku nie sprawiała mu ona satysfakcji, jednak postanowił stać się niezależny i sfinansować samodzielnie studia. Ciężko pracował, więc jego zapał i talent zostały docenione przez szefa. Szybko wybił się ponad innych pracowników

i zaczął dostawać prywatne zlecenia. Po pół roku przeniósł się do firmy montującej schody na terenie Warszawy. Przez kilka miesięcy, mieszkając w Skarżysku, dojeżdżał do Warszawy i Kielc. Jednak, wyjazdy były dla niego zbyt męczące. Zarobił wystarczająco, by otworzyć własną działalność. Przez pracę w tej profesji poznał wielu specjalistów, z którymi mógł wejść w spółkę.

- Nie chciałem wyjeżdżać ze Skarżyska, jest mi tu dobrze. Nie znoszę dużych miast, nie lubię tego ciągłego pośpiechu, zgiełku i hałasu. W Warszawie bardzo się męczyłem, zdecydowanie wolę spokój. Od ukończenia liceum dążyłem do swobody i niezależności, dlatego postanowiłem zaryzykować. Szybko się nie poddam. Odkryłem też, że zarządzanie nie jest moim powołaniem. Dlatego po ukończeniu licencjatu postanowiłem nie kontynuować studiów. Może kiedyś do tego wrócę, ale na razie o tym nie myślę. Chcę skupić się na rozkręceniu interesu.

Marcin zaczął również na własną rękę remont domu, gdzie wkrótce planuje zamieszkać ze swoją narzeczoną. Ona również, mimo, iż studiuje w Warszawie, chce wrócić do Skarżyska i tu zaplanować dalsze życie.

Spełnić swoje marzenia

Milena - wysoka, pewna siebie dziewczyna z pięknym, promiennym uśmiechem. Widać, że zabiegana, jednak wspaniale zorganizowana.

Milena jest studentką trzeciego roku studiów zaocznych na kierunku zarządzanie w Spo-

łecznej Akademii Nauk w Skarżysku Kamiennej. Decyzję o studiach w mieście podjęła przez sytuację materialną jej rodziny, która nie pozwalała jej na spełnienie marzeń o studiach prawniczych w Krakowie. Aby zmienić swoje życie postanowiła zaciśnąć pięści i sama zarobić. Po maturze podjęła więc pracę w jednym z supermarketów. Nie chciała robić jednak przerwy i zdecydowała się kontynuować naukę na miejscu. Cały czas miała cel, spełnić swoje marzenie. Jednak już na pierwszym roku coś się zmieniło - kierunek ją zafascynował. Przykładała się do nauki. W pracy również świetnie sobie radziła, ale było to tylko tymczasowe rozwiązanie. Zaczęła szukać czegoś innego. Postanowiła ubiegać się o stanowisko menedżera ds. marketingu w nowo powstałym Parku Biznesu w Skarżysku. Spośród wszystkich kandydatów, pomimo braku doświadczenia, wykazała się wyjątkową kreatywnością i opracowała najlepszą strategię marketingową. Pracę rozpoczyna wiosną 2012.

- Nigdy nie myślałam o takiej przyszłości dla siebie, teraz jednak, kiedy moje życie tak się ułożyło, nie mogę doczekać się rozpoczęcia pracy. Długo żałowałam, że nie wyrwałam się z miasta, teraz jednak widzę dla siebie inne perspektywy. Zamierzam włożyć w tę pracę całe serce. Gdyby jednak się nie udało i tak podjęłam decyzję o pozostaniu tutaj. Tu jest całe moje życie. Mam tu wszystkich przyjaciół, rodzinę, chłopaka. Czuję się szczęśliwa.

W mieście krążą opinie, że nie ma tu przyszłości, że młody człowiek, aby coś osiągnąć, musi stąd szybko uciekać. Jak widać, nie jest to regułą. Jeśli ktoś czegoś bardzo pragnie, osiągnie to pokona wszystkie przeszkody. Szczęście również jest potrzebne, ale najbardziej liczy się ciężka praca.

- Większość moich znajomych wyjechała, żyją w dużych miastach, uczą się, pracują, wieczorami imprezują. Kiedy podjąłem decyzję o pozostaniu tutaj, wielu ją krytykowało. Mówili, że marnuję sobie życie. Kiedy teraz z nimi rozmawiam, widzę ich uznanie. Niektórzy również myślą o przejściu na studia zaoczne i podjęciu pracy - dodaje Marcin.

Młodzi ludzie są przyszłością. Jeśli oni uciekają, miasto nie ma jak się rozwijać i nie ma, co zaoferować innym młodym. Powstaje błędne koło. Jednak jest szansa, że dzięki takim ludziom, jak Anna, Milena czy Marcin za kilka lat Skarżysko stanie się rozwiniętym miastem.



Dawny Zgierz w drewnie rzeźbiony...

Beata Piechota

Do niedawna Zgierz postrzegany był jako małe miasteczko, których w Polsce wiele. Mało kto wie, że oprócz pięknych kościołów, zabytkowych fabryk, pomników i placów, od niedawna stało się ono unikatowe jeszcze pod innym względem. Dało się poznać, jako zabytkowa ikona regionu łódzkiego, wyjątkowa w skali całego kraju. W Zgierzu powstało miejsce, które wnosi do miasta niesamowity klimat. Mowa o „Mieście Tkaczy”. Jest to przedsięwzięcie, które miało na celu odtworzenie obrazu zgierskiej ulicy z XIX wieku. To dzięki niemu można rzec, że Zgierz to miejsce z potencjałem.

Cele i działania inicjatywy

Pomysł zrodził się w roku 2004, gdy prezydentem miasta był jeszcze Jerzy Sokół. W ramach Norweskiego i Europejskiego Obszaru Gospodarczego miasto starało się pozyskać dofinansowanie na rewitalizację zabytków. Udało się. Na początku grudnia 2008 roku, Biuro

Mechanizmów Finansowych EOG podjęło decyzję o przyznaniu miastu funduszy w wysokości ok. 1.400.000 euro. To jedyny projekt tego typu w Polsce. Kosztował ogółem ok. 7, 5 mln złotych. Ideę nazwano: „Rewitalizacja i rozwój historycznego kompleksu architektury drewnianej miasta Zgierza”.

Inicjatywa spotykała się ze sceptycznym nastawieniem, zwłaszcza ze strony samych mieszkańców. - Meliny, rudery? One mają być jedną z wizytówek miasta? - pytano. Rzeczywiście, były to zaniedbane drewniane ruiny, które stały na najbiedniejszych, zgierskich ulicach.

Rewitalizacja Parku rozpoczęła się w maju 2009 roku. Stopniowo dążono do tego, by oczom mieszkańców oraz przyjezdnych ukazał się Zgierz z dziewiętnastego wieku. Nad całym projektem czuwał Arkadiusz Bogusławski, pełnomocnik do spraw rozwoju miasta Zgierza.

- Proces trwał ponad dwa lata. W czerwcu 2011 roku było otwarcie. Rezultaty dały nam olbrzymią satysfakcję. Jestem zachwycony tym, co udało się stworzyć. Projekt zmienił obszar

miasta. Ludzie bardziej dbają o czystość i bezpieczeństwo. Powstało miejsce, do którego z chęcią się przychodzi - mówi z dumą.

Przebadane zostały wszystkie elementy konstrukcji każdego z budynków, każdy kawałek drewna przeszedł przez ręce specjalistów. Wszystko po to, by stworzyć coś, co oglądać będą mogły nasze dzieci, wnuki i dalsze pokolenia. Coś, z czego i oni będą dumni.

Stare budynki zostały przeniesione z różnych części Zgierza - ulic Dąbrowskiego, Dubois, 1. Maja oraz Narutowicza, przy której (u zbiegu z ulicą Rembowskię) znajdują się dzisiaj Domy Tkackie. Wybrano te najciekawsze i najbardziej związane z historią. Niegdyś zaniedbane, dziś przenoszą nas o niemal dwieście lat wstecz.

Skąd się wzięły?

Miasto Zgierz to jedno z najstarszych na terenie województwa łódzkiego. Prawa miejskie uzyskało najprawdopodobniej w roku 1288. Legenda mówi, że na wzniesieniu nad rzeką Bzurą



www.miestotkaczy.pl



stał ołtarz ofiarny, który został spalony. Stąd nazwa, oznaczająca miejsce zgorzałe.

Na początku XIX w., prowadzono politykę wspierania przemysłu. W Zgierzu osiedliło się dwudziestu trzech sukienników. Każdy z nich wypełnił musiał protokół, w którym zobowiązywał się do utrzymania warsztatów sukienniczych, a na wybranym placu w mieście, w zamian za liczne przywileje, do wybudowania w ciągu dwóch lat drewnianego domu. Na parterze znajdował się warsztat. Piętro pełniło cele mieszkalne, zaś strych służył za pomieszczenie magazynowe. Każdy z budynków spełniać musiał mieć ogniotrwały dach. Domy te ogrzewane były piecami kaflowymi, a w sieni budowano często piece chlebowe.

W ten sposób w mieście powstała dzielnica „Nowe Miasto”, składająca się z ok. trzystu domów z drewna. Miasto stało się przodującym ośrodkiem sukienniczym w Królestwie Polskim. Do dziś kojarzone jest z tą branżą. Obecnie liczy prawie 60.000 mieszkańców i jest ośrodkiem przemysłowo-usługowym. Prócz tego, reprezentuje oświatę i kulturę, które znacznie zyskały na jakości, odkąd w Zgierzu pojawił się ten „drewniany cud”, który pokochali mieszkańcy.

Kulturalne cuda

Park kulturowy składa się z kilku drewnianych domów tkackich, ustawionych niedaleko siebie. W każdym z nich mieści się coś innego, co związane jest z nauką, kulturą i historią. Nie są szkoła, sklepem, ani barem. Każdy oprócz

wartości wizualnych i kulturalnych, jest przede wszystkim domem. Wszyscy czują tu ciepło domowego ogniska, a to jest największą zaletą, która odróżnia ten specyficzny skansen od innych. Park jest też obiektem niemałej zazdrości, stwierdza pan Łukasz Szymański, na co dzień mieszka w Gorzkowicach, niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego.

- W Zgierzu mam bliskich, bywam tu od czasu do czasu. Ostatnio jednak, długo tu nie zagłębiałem, nie było mnie w Polsce. Znajomi wyciągnęli mnie dzisiaj, by pokazać, jakie zmiany zaszły w ich mieście. Jestem mile zaskoczony. Porównując widok sprzed lat z teraźniejszością, myślę, że wiele miast zazdrości takiego miejsca.

Znajduje się tu Dom Turysty z punktem informacji turystycznej i pamiątkami. Odbywają się tu liczne wykłady, seanse filmowe, wystawy książek oraz pchle targi, podczas których mieszkańcy mogą pozbywać się starych rzeczy oraz wymieniać się nimi. Podziwiać w nim można także różnego rodzaju wystawy oraz rękodzieło. Odwiedzający mają szansę zetknąć się tu ze sztuką, która ciekawi, inspiruje, skłania do refleksji. Dom Turysty znajduje się na spacerowym szlaku zgierskich Żydów. Idąc przez Zgierz, można nieomalże cofnąć się do czasów, gdy w domach dziś zamieszkałych przez zwykłych mieszkańców, kiedyś mieszkali żydowscy fabrykanci, gdzie znajdowały się żydowskie szkoły religijne, fabryki, siedziby partii politycznych. Można dowiedzieć się, gdzie żyli i tworzyli wybitni artyści, jak na przykład Marek Szwarz – malarz i rzeźbiarz.

Jest tu Muzeum Lalek, w którym nie tylko dzieci będą czuły się wyjątkowo. Co w nim niezwykłego? To zbiory zabawek z dawnych lat, którymi niegdyś bawiły się dawne pokolenia. Nie stoją one jednak na półkach, za szybami. Można je dotknąć, a nawet się nimi pobawić. Pani Katarzyna Miksa, wraz z kilkuletnią córeczką Natalką, odwiedziły muzeum.

- Współczesne zabawki, lalki Barbie, różnią się wyglądem od tych z dawnych czasów, którymi moja córeczka była zachwyciona - stwierdziła pani Kasia. - To radość zarówno dla dzieciaków, jak i rodziców, którzy niejednokrotnie zapewne chcieli podzielić się ze swoimi dziećmi wspomnieniami o swoich zabawkach, towarzysząc im z dzieciństwa.

Osoby spragnione nowinek architektonicznych z przyjemnością odwiedzą Muzeum Miejsca, które przedstawia proces renowacji domów tkackich. W obrębie tego niezwykłego budynku, znajdują się miejsca noclegowe dla studentów przyjeżdżających do



Polski w ramach międzynarodowych wymian uczelnianych. Już przy samym wejściu, uwagę na piękno drewnianej posesji zwracają oryginalne, przyciągające wzrok drzwi z 1822 roku.

W następnym z domów powstało Centrum Konserwacji Drewna, gdzie odbywają się szkolenia i warsztaty w zakresie zabezpieczenia i renowacji elementów drewnianych. Podziwiać można w nim także wystawy mebli. Jest on swego rodzaju zakładem naprawczym dla pozostałych zabytkowych domów.

Dopełnieniem panującej tu aury sprzed lat, jest stara karczma „Raz na Wozie”, gdzie królują tradycyjne polskie dania: gulasze, pieczenie, sznycle, zalewajki. Smak tradycyjnych potraw podkreśla swojski wystrój tego wnętrza. Karczma jest też miejscem, gdzie rozkwitło niejedno uczucie. Przykładem są pani Monika Wieczorek i pan Łukasz Waliszewski.

- Tutaj się poznaliśmy. Przyszedł ze znajomymi coś przekąsić. Łukasz przyszedł w tym samym celu. Przysiadł się do nas i tak się zaczęło - wspomina z wielkim uśmiechem pani Monika.

- Pogadaliśmy, spodobałiśmy się sobie. Dzięki temu miejscu się poznaliśmy – dodaje pan Łukasz.

W obrębie parku znajdują się także Centrum Kultury Dziecka, odnowione w ramach projektu „Rewitalizacja Strefy Śródmiejskiej Miasta Zgierza”. Stanowi ono piękne uzupełnienie całego kompleksu. Jest w pełni poświęcone najmłodszym, gdzie istnieje możliwość edukacji kulturalnej dzieci już w wieku przedszkolnym. Promowana i upowszechniana jest tu twórczość dzieci i młodzieży. Zainteresowane maluchy uzyskują tu pomoc w poznaniu praw dziecka. Ludzie, którzy pracują w Centrum, są rekrutowani spośród tych, dla których obcowanie z dziećmi jest wielką życiową pasją. Kadra składa się z nauczycieli tańca, instruktorów teatralnych, psychologów, muzyków, instruktorów rzemiosła artystycznego i animacji społeczno kulturowej.

Klimat wszech czasów

Projekt, który od początku budził duże kontrowersje, dziś także wzbudza wiele różnych emocji.

- To miejsce, co tu dużo mówić, przyciąga. Jestem mieszkanką Zgierza od urodzenia. Szczerze mówiąc, wcześniej nie uważałam tego miasta za piękne, ale

odkąd powstał skansen, zmieniłam zdanie. Przychozę tu często, choćby po to, by pospacerować – mówi pani Magda Kwiatkowska, spotkana przed jednym z domów tkackich.

W każdym z budynków napawać się można wonią żywicy. Każdy z nich wnosi coś w życie mieszkańców oraz turystów. To nie jest miejsce, które można jedynie oglądać, tylko takie, w którym możliwe stają się zabawa, nauka i relaks. Miejsce, które po prostu tętni życiem!

Urząd Miasta zadbał także o historyczną oprawę ulic, przy których stoją domy. Na terenie parku znajdują się ławki, ogródki piwne, ścieżki rowerowe, kawiarnie. Wieczorami źródłem światła są gazowe latarnie, a ulice wyłożono „kocimi łbami”.

Przedsięwzięcie udało się. Sztab ludzi wykonał bardzo efektowną pracę. Atmosfera sprzed setek lat wypełniła miasto. Każdym zmysłem można poczuć tutaj historię. Projekt dał dowód, że nie tylko pałace wyłożone marmurami i ozdabiane złotem przyciągają ludzki wzrok, ale i coś, co wydawać się może zwyczajne, posiadające w sobie klimat wszech czasów.

Beata Piechota



Wehikuł czasu, czyli jak zmieniła się Łódź

Joanna Kowalczyk

Łódź – miasto z bogatą przeszłością. Niegdyś centrum przemysłu włókienniczego, charakteryzujące się licznymi zabytkowymi kamienicami i fabrykami. Jak wyglądało kiedyś, a jak dziś?

Łódź Fabryczna

Dworzec kolejowy znajdujący się w centrum miasta. Został zbudowany z inicjatywy przemysłowca Karola Scheiblera w 1865 r. za zgodą cara Aleksandra II. Obecnie dworzec został zamknięty ze względu na jego modernizację.



Plac Wolności

Zbudowany na kształt ośmiokąta foremego. Początkowo był nazywany Nowym Rynkiem. W 1827 r. wzniesiono budynek ratusza miejskiego oraz kościół ewangelicki Świętej Trójcy. W kolejnych latach powstała szkoła powiatowa – obecnie muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. W 1898 r. wokół placu poprowadzono tory tramwajowe. Rynek przemianowano na Plac Wolności po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. W 1930 r. postawiono tu pomnik Tadeusza Kościuszki, jednak w czasie okupacji niemieckiej został on zburzony, a plac nazwany Freiheitplatz, natomiast później – Deutchandplatz. Pomnik został odbudowany w 1960 r.

Ulica Piotrkowska

Obecnie najbardziej reprezentacyjna ulica Łodzi, stanowiąca centrum, wokół której rozbudowało się miasto. Początkowo pełniła funkcję traktu łączącego Piotrków Trybunalski ze Zgierzem, na drodze której znajdowała się wówczas mała osada miejska – Łódź. Nazwę traktu między dwoma miejscowościami nazwano ulicą Piotrkowską w 1823 r. Ulica znacznie wyniszczała przez II wojnę światową. Stopniowa rewitalizacja rozpoczęła się po roku 1990. Jest to obecnie jedna z najdłuższych ulic handlowych Europy.

Plac Dąbrowskiego

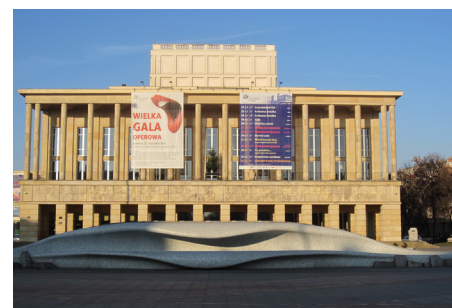
W XIX w. nazywany Rynkiem Cegielnianym ze względu na fakt, że pełnił funkcję centrum sprzedaży wyrobów cegielnianych pochodzących z pobliskiej cegielni. Ta znajdowała się w miejscu dzisiejszego Hotelu Polonia – Pałast.

W 1930 roku powstał tu Sąd Okręgowy. Dziś jest to Sąd Apelacyjny. Plac sąsiaduje z Willą Jakuba Kostenberga, a także z budynkiem Collegium Anatomicum. W latach 60. wybudowano tu Teatr Wielki.



Pałac Poznańskiego

Pałac Izraela Poznańskiego, znajdująca



cy się przy zbiegu ulic Ogrodowej i Zachodniej, często nazywany jest łódzkim Luwrem. Zaprojektowany był pierwotnie jako oparta o wzorce renesansu francuskiego budowla o charakterze reprezentacyjno - handlowym i mieszkalnym. Od czasów I wojny światowej był wielokrotnie przebudowywany. We wrześniu 1939 r. pałac został zajęty przez niemiecki Zarząd Cywilny. W latach późniejszych do pałacu przeniesiono naczelne władze i główne wydziały Rejestracji Łódzkiej. Po wojnie stał się siedzibą Urzędu Wojewódzkiego, by w 1950 roku stać się Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Obecnie rezydencja rodziny Poznańskich jest siedzibą Muzeum Miasta Łodzi.

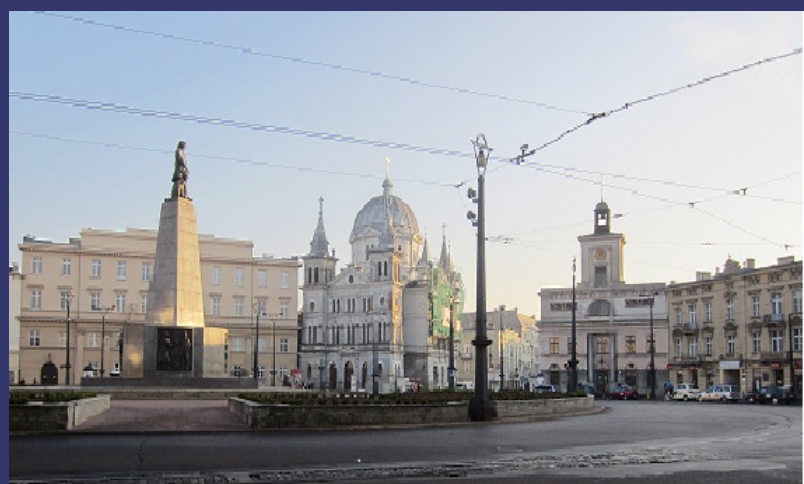
Z budową pałacu związana jest ciekawa anegdota. Kiedy architekt zapytał Poznańskiego, w jakim stylu ma zaprojektować pałac, otrzymał następującą odpowiedź: „Jak to, w jakim stylu? Mnie stać na wszystko!”.

Kamienica Scheiblerów

Budynek znajduje się przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Próchnika. Należał niegdyś do łódzkiego fabrykanta Karola Scheiblera. Powstał w latach 1880-1882.

zdjęcia źródło: HISTORIE ŁÓDZKIE

Joanna Kowalczyk



г. Лодзь, Новый Рынок.
Łódź, Nowy Rynek.
Łódź, Neuer Ring.

